AS



Nr. 49 4 XII 1938
CENA 40 GROSZY

POJUTRZE ŚW. MIKOŁAJ!...

Uśmiech Świętego Mikołaja

WITOLD ZECHENTER

SZKIC



Czy przyjdzie?...

Historja mówi:
„Mikołaj święty, arcybiskup Myru w Licji cudotwórca, więziony i prześladowany za panowania Dioklecjana, zmarł w r. 342".
Kalendarz mówi:
„Święty Mikołaj, arcybiskup, święto 6 grudnia".
Legenda mówi:
„Był raz taki biskup, który bardzo kochał dzieci. Żył dawno, bardzo dawno temu i nazywał się Mikołaj. Lubił on chodzić na dalekie wycieczki, przebiegał miasteczka i wioski i odwiedzał wszystkie chore i biedne dzieci, które obdarzał, czem miał".
Moja córeczka co rano patrzy przez okno i mówi zawiedzionym głosem:
— Jeszcze niema śniegu!
Bo wie, że święty Mikołaj przychodzi w zimie — a w zimie jest śnieg. A przynajmniej powinien być!
Z pewnością arcybiskup Myru z czwartego wieku po Chrystusie nie przypuszczał, że pozostanie w biegu stuleci wciąż najmilszym świętym dzieci, że miljony malutkich usteczek co roku w ciągu tylu wieków wzdychać będą do niego i zasypiać z jego imieniem na wargach. I nie przypuszczał, że także w sercach starszych ludzi pozostanie ciepłem wspomnieniem, echem przeżytej pierwszej tajemnicy i pierwszego gorzkiego rozczarowania.
Gdy moja córeczka zapytuje mi się niecierpliwa:
— Kiedy nareszcie przyjdzie „fienty Mikowaj"?
Gdy widzę błysk jej oczu, jej tęsknotę i niecierpliwość — nie dla zabawki jeszcze jednej, której się spodziewa, lecz dla tej tajemnicy i słodyczy, tego czaru zagadkowego, otaczającego ów dzień — wtedy...
Wtedy oczywiście przypominam sobie, usiłuję sobie odtworzyć — jak to było przed laty, gdy ja miałem ten sam błysk w oczach i to samo gorące zniecierpliwienie. A może — tak jak to dziecko dzisiaj — i ja mówiłem zabawnie „fienty Mikowaj"?
I wtedy przypominam sobie już nie sceny, sytuacje — ale ciepło. Ciepło w sercu, tchnienie tajemnicy.
Ta noc, która wreszcie przychodziła po iluż tęskniących dniach. Ten wieczór, gdy się nie chciało spać — lecz całą noc czuwać. Chciało się ujrzeć. Podziękować.
A potem ten sen, sen dziecka, który mimo wszystko przychodził — chociaż się go odganiało, nie chciało. I potem jakieś nerwowe przebudzenie, głębokie cienie w pokoju, błysk z za story — cisza. I znowu sen. Aż wreszcie — szary, zimowy poranek i ruchem budzącej się głowy, budzących się rąk trącona poduszka. Szeleści!
Był!
Ale zanim trzęsącemi się rękami wydostało się szeleszczące zawiniątka, zanim odkryło się jedno jeszcze w nogach łóżka i jeszcze jedno na krześle obok — uczucie smutku: był — a ja spałem! Był — a ja go nie widziałem! Chociaż tak dobrze go znam, chociaż go tak kocham!
Wszystko, co przyniósł święty Mikołaj, wydawało się przesycone tą tajemnicą i dziwnością. Jabłko, zupełnie zwykłe jabłuszko czy mandarynka czy figi czy czekolada — to wszystko miało całkiem inny smak. Sam papier już, w który podarki były zawinięte, wydawał się całkiem inny, szeleścił inaczej i pachnął.
Nie przypuszczał biskup licyjski, że owinie dzieciństwo niezliczonych miljardów dzieci tą słodyczą, tem ciepłem, o którem się nie zapomina chyba przez całe życie.
A potem — rozczarowanie. Pierwsze wielkie rozczarowanie w życiu. To nie święty Mikołaj... Zawsze się przecież znajdzie jakiś niedobry kolega w szkółce, jakaś głupia służąca, która powie. I wyśmieje w dodatku.
Więc to nie święty Mikołaj! Więc to tylko matka?
Nikt z pewnością nie odczuwa wtedy, że to „tylko" jest równie krzywdzące dla matki, jak rozczarowanie dla dziecka. Ale z takich odcieni dopiero później zdajemy sobie sprawę — gdy już — zazwyczaj — jest zapóźno i matki już niema.
Ale mimo to, nawet gdy się już wiedziało, że nie święty Mikołaj — jednak podświadomością wierzyło się dalej. Bo przecież jak najdłużej trzeba było pieścić w sobie tajemnicę, jaknajdłużej tę słodycz, to ciepło.
Jako dzieci dostawaliśmy przecież podarki z tylu różnych okazyj. Imieniny, święta, pierwszy dzień szkoły. Dużo okazyj. Ale nigdy żaden podarunek nie cieszył tak, jak najprostsze, najzwyklejsze choćby podarki od świętego Mikołaja. Bo związane były czarem nieznanego, dziwem cudu.
Czytałem kilka już lat temu w jakimś zagranicznym dzienniku, że zmarł w Stanach Zjednoczonych w Ameryce jakiś lodziarz. Był Włochem, wyemigrował do Ameryki i tam dorobił się olbrzymiej fortuny na lodach. Gdy umarł — a był to człowiek samotny, bez rodziny — otwarto jego testament.
I oto okazało się, że cały swój wielki majątek przeznaczył włoski lodziarz dla dzieci.
Ale nie na chleb dla biednych dzieci, nie na ubranka dla dzieci, chodzących w łachmanach, nie na poratowanie nędzarzy. Nie!
Na lody dla biednych dzieci!
Ten lodziarz włoski był wielkim człowiekiem. Serce mieć musiał niezwykłe, nie na miarę zwykłego fabrykanta lodów. Serce na tyle kochające dzieci, że aż zrozumiało, czem dla biednego dziecka są lody... Bo przecież chleb i ubranka, pomoce szkolne i wogóle opiekę biedne dzieci mają od różnych oficjalnych towarzystw rządowych, samorządowych i od prywatnych fundacyj — suchą, surową, rygorystyczną. Te instytucje dbają o to, by dziecko-podrzutek nie umarło z głodu. Ale biedne dzieci nie dostają lodów. To jest zazwyczaj ich marzeniem — nieosiągalnem. Dostają chleb, zupę, ubranie.
Powinno się — idąc śladem wielkiego lodziarza — utworzyć fundację imienia św. Mikołaja. Dla biednych dzieci. Ażeby nie było dziecka, któreby nie dostało podarku od świętego Mikołaja. Ażeby nie było dziecka, które zasypia — na barłogu, w suterenie, w łóżku, szpitalu, przytułku nędzarzy — marząc, że jutro właśnie, wzdychając do tego świętego i wierząc, że on przyjdzie, że trafi po najciemniejszych schodach, przez najwilgotniejsze, najbardziej cuchnące podwórka, a potem rano — widzi, że nie przyszedł. I dostaje garnek kapuśniaka, czy kromkę chleba, czy talerz zupy — z litości. Ale On — nie przyszedł.
Powinno się utworzyć taką fundację. — Niechby się każdy opodatkował — każdy z tych ludzi, którzy potrafią zrozumieć serce dziecka. To byłaby taka nieoficjalna Pomoc Zimowa... Ale o niej — pamiętałoby każde dziecko nędzarza — przez całe życie.
Święty Mikołaj powinien przychodzić co roku do wszystkich bez wyjątku dzieci. Bo ciepło tych uczuć, słodycz tej tajemnicy pozostaje, trwa długie lata, drzemie w kącie serca, skąd można ją wywołać znów i niewątpliwie jest jedną z tych iskierek dobroci, które może nieraz potrafią przeszkodzić w wybuchu pożaru zła...
I w tem jest wielkie, ustawiczne zwycięstwo arcybiskupa z Myru — tego, którego imię najsłodziej jest przekręcane przez miljony małych warg, tego, którego moja córeczka nazywa „fienty Mikowaj"...

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

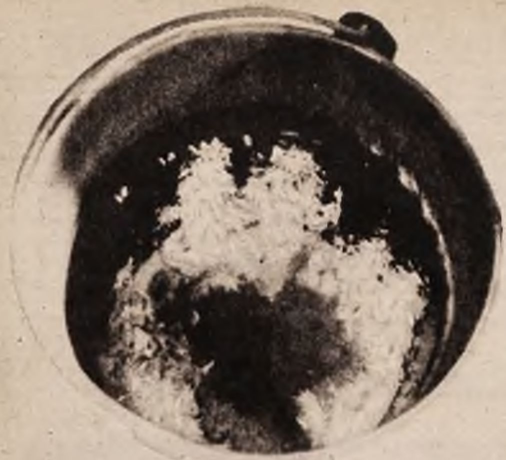
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 49 **Niedziela, 4 grudnia 1938** **Rok IV**



W ub. niedzielę wojska nasze dokonały zajęcia Jaworzyny, która z dolinami Jaworową i Białej Wody stanowi obok kotliny Morskiego Oka jeden z najpiękniejszych zakątków polskich Tatr. — Na zdjęciu: Kolumny wojska polskiego podczas marszu ubezpieczonego na Żdziarskiej Przełęczy. *Fot. T Śiemianowski — Zakopane.*



Wydzielanie się radu z rud uranowych w postaci kryształków bromku radowo-barowego.

RAD DOBROCZYŃCA LUDZKOŚCI

Na prawo: Marja Skłodowska jako studentka Sorbony.



Czterdzieści lat dobiega od chwili dokonania jednego z największych odkryć naukowych ostatnich czasów, jakie związało się trwale z nazwiskiem naszej rodaczki, Marji Skłodowskiej-Curie. Było nim odkrycie nowego pierwiastka — radu, o którym po raz pierwszy świat dowiedział się w grudniu roku 1898. Rocznica ta została obecnie uczczona przez cały świat cywilizowany, a pierwszy dzień międzynarodowego tygodnia walki z rakiem otrzymał nazwę „dnia Curie". Zaledwie tydzień temu odbyło się w paryskiej Sorbonie uroczyste posiedzenie, w którem wzięli udział delegaci około 50 państw świata. Do zgromadzonych przemówił za pośrednictwem radja Pan Prezydent Rzplitej prof. Ignacy Mościcki, analizując ścisłe związki, istniejące dzięki cudownemu rozwojowi nauki między dwiema tak różnorodnemi dziedzinami, jak wewnętrzny ustrój materji i ludzkie cierpienie — i przypominając odkrycie, które wyznaczyło podstawowe etapy postępu na tej drodze. Zkolei przemawiał Prezydent Francji, Albert Lebrun, podnosząc zasługi pierwszych badaczy radu Piotra i Marji Curie i przesyłając Polsce pozdrowienia Francji. Przemówienie swe zakończył znanem zdaniem Pasteura: „Wierzę, że wiedza i pokój odniosą triumf nad ciemnotą i wojną i że narody porozumieją się nie po to, aby burzyć, lecz aby budować".

Wstępem niejako do odkrycia radu i promieniotwórczości było odkrycie promieni uranowych. Po odkryciu promieni Röntgena znany uczony francuski Henri Poincaré zaczął badania nad substancjami fluoryzującemi, chcąc przekonać się, czy pod wpływem światła nie wysyłają one promieni podobnych do promieni Röntgena. Badania te prowadził również fyzik Antoine Henri Becquerel i jemu to udało się stwierdzić podczas obserwacyj połączeń rzadkiego metalu uranu, że pierwiastek ten wysyła całkiem samorzutnie, bez wcześniejszego naświetlania, promienie o zupełnie nieznanym charakterze. Nowo odkryte promienie, posiadające zdolność oddziaływania na kliszę fotograficzną poprzez czarny papier nazwał Becquerel promieniami uranowymi. Po raz pierwszy spotkano się ze zjawiskiem, które poźniej Marja ze Skłodowskich Curie nazwała promieniotwórczością, a którego przyczyn nie znano jeszcze wtedy zupełnie.

Przyszła laureatka nagrody Nobla wzięła sobie zbadanie nowo odkrytych promieni uranu za temat pracy doktorskiej. Po bliższem zapoznaniu się w toku pracy z promieniami o tak charakterystycznych własnościach Marja Curie postanowiła zbadać, czy przypadkiem i inne pierwiastki nie posiadają podobnych własności. I rzeczywiście w krótkim czasie odkryła, że związki innego pierwiastka, a mianowicie toru, również promieniują samorzutnie, a ich promienie posiadają podobny charakter do promieni uranowych. Śmiało postawiona przez nią hipoteza, że promieniowanie nie jest wyłączną cechą uranu, okazała się prawdziwą. Własności tej zaproponowała nadać nazwę promieniotwórczości, a pierwiastki wysyłające to promieniowanie, takie jak uran i tor, nazwała pierwiastkami promieniotwórczymi czyli radjoelementami. Jak wiadomo, nazwy te zachowały się do dzisiaj w nauce, a promieniotwórczość stanowi obecnie duży dział nauk fizyko-chemicznych.

Badając nietylko proste związki chemiczne, lecz także różnorodne minerały o złożonym składzie chemicznym, natrafiła M. Curie na minerały uranowe, które wykazywały promieniowanie znacznie silniejsze, aniżeli wynikałoby to z zawartej ilości uranu. Powtarzane wielokrotnie doświadczenie stale doprowadzało ją do tego samego wyniku: promieniowanie badanych próbek mineralnych było znacznie silniejsze, aniżeli można by-







Na prawo od góry: Historyczna „szopa" przy ulicy Lhomond w Paryżu (widok od ulicy i wnętrze), w której małżonkowie Curie przeprowadzali swe pierwsze doświadczenia nad radem. — Marja Curie (pierwsza po prawej) w towarzystwie członków Międzynarodowej Komisji Współpracy Intelektualnej w Genewie. Od lewej widoczni: prof. Einstein, prof. Mullikan i Gilbert Murray.

ło się spodziewać po zawartości uranu czy toru.

Jakiż pierwiastek mógł być tego przyczyną, gdy w poprzednich swych badaniach przeszła kolejno wszystkie znane pierwiastki i z nich tylko uran i tor wykazały własności promieniotwórcze? Śmiało postawiła wówczas nasza rodaczka hipotezę, że ciałem o tak silnej promieniotwórczości jest jakiś nowy, nieznany jeszcze pierwiastek. W komunikacie złożonym Akademji Francuskiej i ogłoszonym w sprawozdaniu z posiedzenia w kwietniu 1898 Marja Skłodowska-Curie zapowiedziała istnienie nowego pierwiastka w badanych przez siebie rudach uranowych, znacznie aktywniejszego od samego uranu.

Piotr Curie, wierny towarzysz jej życia, z którym przed trzema laty połączyła ją prawdziwa miłość i szczere umiłowanie prawdy i nauki, zrozumiał doniosłość rozpoczętych prac żony. Porzuca swe badania kryształów, aby pomóc jej w wydobyciu nieznanego pierwiastka o dziwnych a potężnych własnościach. Ta współpraca małżonków Curie trwała nieprzerwanie przez lat 8 aż do tragicznej śmierci Piotra Curie.

Następne sprawozdanie przedstawione Francuskiej Akademji z lipca 1898 r. zostało podpisane imionami Piotra i Marji Curie. W badaniach swych doszli do wniosku, że minerał uranowy zawiera nieznany jeszcze metal, któremu nadali nazwę polonu na cześć ojczyzny inicjatorki badań. Komunikat o swem odkryciu przesłała p. Curie równocześnie do Warszawy na ręce swego brata ciotecznego prof. Józefa Boguskiego, kierownika laboratorjum przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, pierwszego jej nauczyciela w pracach doświadczalnych; został on ogłoszony w miesięczniku fotograficznym „Świa-tło“, mniej więcej w tym samym czasie, co w Paryżu.

W dalszym ciągu państwo Curie pracują w niezwykle trudnych warunkach, by bliżej zbadać tajemnicę nowego pierwiastka. — W grudniu 1898 roku zawiadamiają wreszcie Akademję Nauk o odkryciu drugiego pierwiastka radjoaktywnego, zawartego w blendzie uranowej o niezwykłej sile promieniotwórczej. Nowemu pierwiastkowi zaproponowali nadać nazwę radu.

Nowe pierwiastki, które zdradziły swą obecność niezwykłem promieniowaniem, należało wyodrębnić. Dla oznaczenia szeregu własności fizycznych i chemicznych, a przedewszystkiem dla oznaczenia ciężaru atomowego pierwiastków, należało wydobyć je w stanie czystym. Tymczasem w najsilniej promieniotwórczych związkach, jakie były wtedy znane, występowały one zaledwie jako drobne ślady. Jedyną charakteryzującą je cechą była wybitna zdolność promieniowania i ona musiała być drogowskazem w trudnej i żmudnej pracy. Poszukiwania swe przeprowadzali małżonkowie Curie w ten sposób, że blendę uranową poddawali normalnej analizie chemicznej, rozdzielając je na poszczególne frakcje; następnie badano promieniotwórczość tych frakcyj, odrzucając te, które nie wykazywały aktywności i w ten sposób gromadząc produkty o coraz silniejszem promieniowaniu. Na wyodrębnienie jednak nowych metali potrzeba było olbrzymich ilości surowca.

Blenda uranowa, zwana zwykle blendą smolistą, w której ukrywał się polon i rad, była surowcem kosztownym. Dla otrzymywania soli uranowych, potrzebnych do produkcji farb, nadających się do barwienia specjalnych gatunków szkła, wydobywano ją w Jachimowie. Warunki, w których pracowali małżonkowie Curie, były niezmiernie ciężkie i graniczące z niedostatkiem, a zdobycie funduszów na zakupno większych ilości surowca uranowego nie było rzeczą łatwą.

Dzięki interwencji znanego wiedeńskiego geologa Suessa i Wiedeńskiej Akademji Umiejętności rząd austrjacki, do którego należała kopalnia uranu w Jachimowie, ofiarował małżonkom Curie bezpłatnie tonę odpadków rudy uranowej, w których spodziewali się znaleźć poszukiwane pierwiastki. Dla przeprowadzania swych badań udało im się po wielu staraniach uzyskać jedynie drewnianą szopę w Szkole Fizycznej, w której wykładał Piotr Curie. W niczem lokal ten nie przypominał pracowni chemicznej. Jedynem umeblowaniem oszklonej i pokrytej dziurawym nieco dachem szopy było parę zniszczonych stołów kuchennych, tablica i stary piecyk żelazny. W tej szopie rozpoczęto prace nad wyodrębnieniem radu. Tutaj Marja Curie osobiście przerobiła całą tonę odpadków fabrykacji soli uranowych z Jachimowa, a następnie jeszcze dalszych 7 tonn sprowadzonych później dla kontynuowania prac. *Dokończenie na str. 20-ej.*

Poniżej: Samolot w La Pine Point nad Wielkiem Niedźwiedziem Jeziorem, który przewozi rudę uranową.





Instytut radowy imienia Marji Skłodowskiej-Curie w Warszawie.



Ogólny widok Jachimowa w Górach Kruszcowych (Niemcy).



Piotr i Marja Curie, według fotografji z r. 1904.

ZDJĘCIA Z DZIEŁA „MARIA CURIE“ (WYD. J. PRZEWORSKI WARSZAWA)

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM:

Barbara Kostrzewska

Opera polska rzadko przeżywa narodziny nowej gwiazdy, a inne sceny muzyczne stale narzekają na brak dobrych, a zwłaszcza nowych, młodych talentów. Czasy, w których śpiewaczce operowej wystarczał jedynie dobry głos, minęły bezpowrotnie. Obecnie publiczność wymaga od primadonny zarówno gry scenicznej, jak i urody, a nawet modnej linji. Jakże trudno połączyć wszystkie te walory w jednej osobie!

Tembardziej więc cennem jest pojawienie się na firmamencie polskiej opery nowej gwiazdy w osobie Barbary Kostrzewskiej, której karjera w przeciągu jednego sezonu — wzrosła w tak bezprzykładnem tempie, iż przypomina karjery gwiazd hollywoodzkich. Posłuchajmy, co o tem mówi sama artystka, podczas rozmowy, która toczy się w jej buduarze, urządzonym z wielkim smakiem.

Panią Basię, którą trudno ze względu na jej młodociany wiek tytułować oficjalnie panią Barbarą, nie łatwo przychodzi nakłonić do opowiadania o sobie. Przy całem swem powodzeniu, pozostała bowiem nadzwyczaj skromną osóbką. Jej zwierzenia — ograniczają się do faktów, które tembardziej podkreślają tę piękną cechę artystki.

— Jestem Krakowianką — rozpoczyna pani Basia. — Maturę zdałam w Krakowie i w krakowskiem konserwatorjum rozpoczęłam naukę śpiewu u profesora Kniaginina. Po przeniesieniu się do Przemyśla nie zaniedbałam bynajmniej edukacji mego głosu, a mając tak blisko we Lwowie, doskonałego profesora włoskiej szkoły Augusta Dianniego, dojeżdżałam do niego na lekcje. Równocześnie przemyski teatr „Fredreum" zaprosił mnie do udziału w swych przedstawieniach operetkowych. Śpiewałam tam „Cnotliwą Zuzannę", „Nitouche" i w „Manewrach jesiennych" i w wielu innych operetkach.

— Miłe to były czasy tych moich pierwszych występów na scenie — przy tych słowach uśmiecha się artystka promiennie, podając mi album z powklejanymi starannie wycinkami różnych gazet. — O! proszę, oto moje pierwsze w życiu recenzje z owych czasów. Stanowią one dla mnie niezwykle cenną pamiątkę!

— A w jaki sposób odbył się ten bądź co bądź rekordowy skok z Przemyśla do Warszawy? — pytam zaciekawiona.

— Wszystko odbyło się dziwnie składnie i gładko — odpowiada pani Basia — bez jakichkolwiek specjalnych starań z mej strony, tak, że muszę wierzyć — w jakieś dobre wróżki, które mną się opiekują. Namówiona przez przyjaciół, napisałam ubiegłego lata list do dyrektora warszawskiej opery Mazarakiego, prosząc o audycję. Otrzymałam przychylną odpowiedź i przyjechałam z bijącem sercem do Warszawy; odbyłam audycję...

— I na drugi dzień miała pani kontrakt w kieszeni? — przerywam.

— O, tak prędko to nie poszło. — śmieje się artystka. — Owszem, dyrektor był zadowolony z mojego głosu, lecz nie wiedział jeszcze, jakie wartości przedstawiam, jako aktorka. Wobec tego zaangażował mnie warunkowo, bez kontraktu. — Ale już po pierwszej roli, śpiewałam partję Juanity w „Słońcu Meksyku", którą w dodatku objęłam zastępstwie po Marji Gabrieli, podpisałam pracę w warszawskiej operze.



W roli porucznika Maroszi'ego w „Manewrach jesiennych".
Fot. J. Malarski — Warszawa.



Na lotnisku w Rydze, po przyjeździe na koncert.

Ponieważ, jak wiadomo, Wielka Opera wystawia tak opery, jak i operetki, więc też i mój repertuar w pierwszym sezonie był bardzo urozmaicony: Micaela w „Carmen", Krysia w „Ptaszniku z Tyrolu", Ewa w „Hrabinie", porucznik Maroszi w „Manewrach jesiennych". W tym sezonie „Verbum Nobile", operetka „Książę Szirasu". Bardzo dużo śpiewałam w Polskiem Radjo, a do występów, które mi dostarczyły specjalnych emocji muszę zaliczyć udział w tegorocznym festiwalu muzycznym w Krakowie oraz koncert w konsulacie polskim w Rydze, na który zostałam zaproszona przez tamtejszego konsula.

— A resztę, wiedząc, jak pani nie lubi się chwalić, już ja dopowiem — zabieram głos. Zatem posypały się znakomite recenzje, najwytrawniejsi znawcy ocenili pani walory wokalne w najwyższych superlatywach, stała się pani ulubienicą Warszawy i zaawansowała pani w jednym sezonie na gwiazdę polskiej opery!

— O nie jestem wcale taką skromnisią — przerywa miła rozmówczyni. — Muszę się bowiem pochwalić moim ostatnim sukcesem. Oto, bawiący w Warszawie głośny kapelmistrz Emil Cooper, który koncertował z naszym znakomitym pianistą Münzem, był na „Verbum Nobile", gratulował mi gorąco i...

— Pani Basiu, niech pani nie kończy! — Znajomość pani ze sławnym Cooperem, może być dla nas katastrofalna! Gotowa pani wyfrunąć z Warszawy prędzej, niżbyśmy tego nawet dla pani sławy i laurów na szerokim świecie pragnęli!

— O! To jest jeszcze muzyka dalekiej przyszłości. Narazie, siedzę w Warszawie i cieszę się niezmiernie, że mogę pracować pod dyrekcją tak znakomitego kapelmistrza, jakim jest Adam Dołżycki. Bardzo dużo mam też do zawdzięczenia obecnemu reżyserowi opery panu Wiśniewskiemu, z którym opracowałam „Traviatę", Rozynę w „Cyruliku" i Małgorzatę w „Fauście". Są to partje, które mam śpiewać w tym sezonie. To są moje plany na bieżący sezon. O dalszych narazie nie myślę...

Z. Ord.



KĄCIK
FILATELISTYCZNY

Płody rolnicze, któremi chwali się Bułgarja — nie są czemś niezwykłem, to też nie widzieliśmy dotąd na znaczkach słonecznika czy też truskawek. Scena, przedstawiająca żniwiarzy, jest aż nadto dobrze znana zbieraczom znaczków węgierskich, a grono winne i kwiat róży powtarzają się widocznie dlatego jeszcze raz w tej serji, ponieważ uprawa tych dwóch roślin charakteryzuje właśnie kraj, leżący nad szumiącą Maricą.

Wydanie tylu znaczków ratami po kilka sztuk, musi słusznie irytować każdego amatora nowości, bo w międzyczasie wyznaczone zostały w albumie Bułgarji pola na serję jubileuszową, czy też z królewiczem Symeonem, teraz zaś, dla utrzymania systematyki, należy wszystko zmienić. Problem: czy trzymać się ściśle systemu chronologicznego, czy też bezwzględnie łączyć razem serję, składającą się z tego samego typu znaczków, nie może być tak łatwo rozwiązany.

Jedni zbieracze pragną mieć odrazu ułożone znaczki w albumie i nie lubią przechowywać ich w t. zw. „einsztekach" — może ktoś zaproponuje oryginalne polskie słowo na tego rodzaju album? — a inni filateliści znów trzymają się niewolniczo kolejności chronologicznej.

Tak od jednego jak i od drugiego systemu trzeba jednak odstąpić w poszczególnych wypadkach. Przecież nikt nie przewidzi, czy serja francuska z „siewczynią" nie powiększy się o nowe odmiany barw i dlatego nie można trzymać w nieporządku wszystkich tak pięknych znaczków Trzeciej Republiki począwszy od roku 1903! Swoją drogą, jeśli ktoś układa album w chwili obecnej, powinien bezwzględnie połączyć razem serje główne wraz ze wszystkiemi wartościami dodatkowemi, jeśli tylko wykazują te same cechy charakterystyczne. W emisjach — ukazujących się stopniowo, jak np. w Anglji, trzeba zgóry przewidzieć — (mniejwięcej) ile rządków należy zostawić sobie do dyspozycji. Sprawa ta jest o tyle więcej skomplikowana, że niema tu żadnej zapowiedzi na przyszłość (jakie np. będą formaty znaczków szylingowych z królem Jerzym VI), podczas gdy w Stanach Zjednoczonych już odrazu przewidziano, ile wartości będzie zawierać obecna serja z prezydentami.



Nowa serja znaczków bułgarskich, na których widzimy najważniejsze produkty rolne Bułgarji, tj. winogrona, truskawki, róże, słoneczniki i wkońcu scenę ze żniw. — W drugim rzędzie najnowsze znaczki belgijskie z widokami Liège, wydane z okazji otwarcia kanału, łączącego to miasto z morzem.

Jeśli ktoś dokupuje sobie systematycznie dodatki, wówczas kosztem kilkunastu złotych pozbywa się wszelkich kłopotów, ale poważniejsi zbieracze obierają sobie raczej indywidualny system ułożenia zbioru. Wówczas trzeba jednak bezwzględnie przyjąć indywidualny system przy każdym kraju: pomieszanie belgijskich znaczków kolejowych, dopłatnych, lotniczych, urzędowych, dobroczynnych, gazetowych utworzyłoby tak zawikłany konglomerat, że wyglądałby on po ludzku tylko przy absolutnym komplecie, którego nie posiada napewno ani dziesięć osób w całej Polsce.

Odpowiedzi Redakcji. WP. L. R. Bydgoszcz. Artykuł otrzymaliśmy, jest on jednak zbyt obszerny, a musimy przedewszystkiem informować Czytelników o emisjach, wydanych oficjalnie.



SPICHRZ KAZIMIERZA WIELKIEGO
KAZIMIERZ NAD WISŁA
Fot. inż. W. Chromiński, Kraków.

Telefon

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

NOWELA

Tomasz Charcicki był w tym nastroju, w którym nic absolutnie nie zdoła człowieka wyprowadzić z równowagi. Patrzał na otaczające go osoby i rzeczy ze stoicznym spokojem, słuchał z przyjemnością muzyki, przygrywającej w wytwornym dancingu, urządzonym na sposób angielski i myślał, że teraz, kiedy postradał resztkę swej fortuny, nic właściwie mu już nie grozi. Wychodził z tego optymistycznego założenia, jakie opanowuje nieraz rozbitków życiowych: nie mam już nic, więc nic już nie mogę stracić. Czuł się jak żeglarz, który po rozbiciu okrętu osiadł z „golem życiem" na wyspie i uważa, że właściwie mogło go spotkać coś gorszego.

Tymczasem otoczenie, w jakiem znalazł się Tomasz Charcicki, było zaprzeczeniem jego obecnej sytuacji: naokoło siedzieli wytworni panowie, o ciekawych nieraz i wysoce dystyngowanych twarzach oraz panie, które, o ile nie dopisała im w pełni uroda, nadrabiały te braki wytworną i gustowną tualetą, której cena znacznie przewyższała cały majątek Tomasza. Patrząc na tych rozbawionych, zajętych flirtem ludzi, przypominał sobie Charcicki raz jeszcze ostatnie wydarzenia, które tak zasadniczo zmieniły jego położenie.

Gdy za namową jednego z przyjaciół, dyrektora banku, zakupił za wszystkie swe pieniądze, będące resztą majątku odziedziczonego po ojcu akcje jednego z wielkich przedsiębiorstw w Austrji, zdawało się, według obliczeń finansistów, z którymi mówił o tej sprawie, że akcje w najbliższym czasie podskoczą co najmniej w dwójnasób. Tomasz, z wrodzoną sobie lekkomyślnością, obliczał swe przyszłe zyski i rozmyślał nad odpowiedniem do majątku urządzeniem sobie życia. Już widział stosy banknotów, leżące na stole, już liczył niemal realnie wygrane w tej wielkiej grze giełdowej pieniądze. Stało się inaczej: po okupowaniu Austrji przez Niemców fabryka została natychmiast zamknięta, gdyż pracowała kapitałami obcymi, które nie były pożądane, a potem, gdy ją jednak po pewnym czasie otwarto z powrotem, nie przedstawiała już wartości, gdyż miała potężną konkurentkę w granicach Rzeszy, której powierzono wszystkie zamówienia państwowe. Z dnia na dzień z potężnego koncernu metalurgicznego pozostała tylko fama przeszłości i trochę zdewaluowanych akcyj. Tomasz za jednym zamachem był zrujnowany.

Ale mimo ten cios, jakiego doznał od losu, nie stracił fantazji. Był to dziwny człowiek: mimo swych czterdziestu lat, mimo, iż wiele rzeczy w życiu przeżył, pozostała mu jakaś naiwna, niemal dziecięca wiara w cuda, zjawiające się w jego życiu właśnie w chwili, kiedy już nie było innego wyjścia. I było to tem dziwniejsze, wiara jego potęgowała się z roku na rok, gdyż rzeczywiście zawsze zdarzało się coś, co ratowało go w ostatniej, najbardziej tragicznej chwili.

„Co tam będę się smucił i rozpaczał! — pomyślał — musi znów przyjść dobra passa jak w Monte Carlo i wtedy znów wypłyniemy!"

Byłby zagwizdał z wewnętrznego zadowolenia jak ulicznik, ale zreflektował się, że taki objaw niezrozumiałej dla otoczenia radości byłby nieco dziwny.

Kochał życie i wszystko, co ono daje, zwłaszcza przygody miłosne, zacząwszy od najbardziej poetycznych i pełnych czaru, a skończywszy na bardzo tuzinkowych, były jednym z tych momentów życiowych, dla których nie byłby wyrzekł się walki z przeciwnościami, aby wkońcu móc znów podjąć dawny tryb życia. Od dłuższej chwili obserwował z niekłamanem zadowoleniem piękną brunetkę, siedzącą opodal w towarzystwie starszego, łysawego pana. Zauważył już po kilku spojrzeniach, rzuconych na nieznajomą, że nie jest jej obojętny, gdyż w chwilach, gdy towarzysz spoglądał w inną stronę, rzucała mu obiecujące spojrzenia.

Muzyka poczęła grać jakieś modne tango. Charcicki z żalem skonstatował, że będzie musiał pozostać jedynie widzem obrazu tańczących par, gdyż nie mając pieniędzy na snucie dalszych planów na wieczór, w razie poznania jednej z obecnych na sali pań, byłoby dla niego niemożliwością. W duszy jednak postanowił, że z chwilą, kiedy los znów stanie się dla niego lepszy, sowicie odszkoduje sobie tę chwilową pasywność życiową.

Zabrzmiał ostatni takt i pary podążyły do swych stolików. Piękna brunetka spojrzała na niego z wyrzutem, jakby się gniewając, że nie starał się w wirze tanecznym zbliżyć do niej.

Przez salę przeszedł chłopak w liberji hotelowej, niosący tablicę z napisem „Chrzanowski", szukając gościa, którego wezwano do telefonu. Charcicki, nie mogąc dokładnie odczytać niewyraźnie napisanego nazwiska, a spodziewając się, że może jeden z przyjaciół zatelefonuje do niego, prosząc go na dobrą kolację, spojrzał znacząco w stronę chłopca. Boy uważając, że przystojny człowiek o pięknych rysach był właśnie wzywanym, podbiegł do niego.

— Jest telefon dla pana! — rzekł uprzejmie.

— Dla mnie? — spytał Charcicki niedowierzająco, a zarazem spojrzał na tablicę. Teraz mógł odczytać wyraźnie nazwisko i stwierdził, że jest mu ono obce.

Ale jakaś fantastyczna myśl strzeliła mu do głowy.

„A gdyby się tak przyznać do telefonu i wejść ni stąd ni zowąd w wir spraw, które są mi nieznane? Może dowiedziałbym się czegoś ciekawego, może poznałbym odcinek życia dotąd utajony przede mną?" Coś go korciło, aby właśnie teraz spróbować szczęścia w tak niezwykły i oryginalny sposób.

— Gdzie jest budka telefoniczna? — zapytał, wstając od stołu.

Boy uprzejmym ruchem wskazał mu drogę.

— Hallo! Czy pan Chrzanowski? — usłyszał głos jakiegoś starszego zapewne pana.

— Tak, słucham pana! — odrzekł, starając się nadać swemu głosowi dużą pewność siebie.

— Proszę pana, tu mówi Warciński, telefonuję do pana w sprawie, którą prowadzi mecenas Marski. Zapewne panu o tem mówił?



Charcicki zastanowił się chwilę. Jak się przyzna, nie dowie się o co chodzi, wolał przeto zaprzeczyć.

Głos w telefonie począł tłumaczyć.

— Chodzi o moją żonę! Otóż mecenas poradził mi, abym się z panem porozumiał, gdyż chcę panu powierzyć rolę tego, który moją żonę nakłoni do dania swego zezwolenia na rozwód i który swym osobistym urokiem, wdziękiem i zdolnością perswazji skłoni ją do zgody na wszystkie przeze mnie proponowane punkty. Rozumie pan?

— Owszem, rozumiem bardzo dobrze! — odparł, uśmiechając się Charcicki. Zaznaczam, że zadanie to trudne i ryzykowne!

— Wiem o tem, to też premja będzie odpowiednio duża! — odparł skwapliwie głos po drugiej stronie drutu. Chodzi o to, aby pan zechciał się do mnie pofatygować, abyśmy sprawę dokładnie mogli omówić. Kiedy pan może do mnie przyjść?

Charcicki nie spodziewał się naprawdę tak ciekawej sprawy. Ni stąd ni zowąd wchodził w czyjeś sprawy rodzinne, mogące zresztą dla niego być o tyle ciekawe, że chodziło przecież o zdobycie niejako serca, a przynajmniej sympatji jakiejś, zapewne pięknej kobiety, z którą chciał się rozwieść stary, jak mu się zdawało, mąż. Choć nic jeszcze bliższego nie wiedział o sprawie, zapowiadała się ona jednak ciekawie i emocjonująco.

— Jestem dosyć zajęty, ale ostatecznie mógłbym wstąpić jutro... Może w południe?

— Dobrze, więc jutro w południe. Adres pan mój zna, nieprawda?

Charcicki znów musiał manewrować, aby nie spłoszyć „zwierzyny".

— O ile pamiętam mieszka pan w Alejach numer...

— Nie, nie w Alejach, ale tuż obok na ul. Szopena 15, pierwsze piętro. Więc czekam na pana jutro, w południe. Tymczasem moje uszanowanie!

Gdy Charcicki wychodził z budki telefonicznej miał lekkie wyrzuty sumienia. Podszedł jakiegoś nieznanego sobie człowieka, a nawet, ściśle mówiąc, dwóch, nadużył przypadku, aby wkraść się w cudze sprawy! To było poprostu nieetyczne. Ale już następna minuta dała mu rozgrzeszenie: nie ja to zrobię, to kto inny, zawsze ktoś się znajdzie, by ułatwić Warcińskiemu rozwód i rozkochać w sobie jego żonę. Et, machnął ręką i przeszedł nad zagadnieniem do porządku dziennego, zastanawiając się tylko nad tem, jak może wyglądać „ofiara", na którą należało zapolować.

Następnego dnia Charcicki zjawił się o omówionej godzinie u Warcińskiego. Przyjął go dystyngowany, starszy służący, a całe mieszkanie zdradzało wielką zamożność pana domu. Widok ten dobrze podziałał na Charcickiego: lubiał bogactwo nawet cudze.

Do gabinetu wszedł po chwili niski, grubawy człowiek o lśniącej, łysej głowie. Do przybysza wyciągnął serdecznie rękę i rzekł:

— Niezwykle się cieszę z poznania pana. Pan wie, jak dla mnie duże znaczenie ma rozwód z moją żoną.

Zastanowił się chwilę, a potem ciągnął dalej:

— Powiem panu w krótkości o co chodzi: otóż oddawna podejrzewam moją żonę o zdradę, nie mam jednak na to dowodów. Z drugiej strony chcę ożenić się z inną kobietą. Z jednego jak i z drugiego powodu chcę otrzymać z żoną rozwód cywilny. Oczywiście jak pan wie, trzeba móc drugiej stronie wykazać poważne uchybienia w pożyciu małżeńskiem. Żona moja jest bardzo doświadczona: wszystkie pozory zdrady są dotychczas po mej stronie, niestety. Oficjalnie jest ona bez zarzutu. Otóż chodzi o to, aby pan, jako inteligentny, miły, przystojny człowiek, rozkochał ją w sobie, spowodował do tak zwanego „afiszowania" się z sobą, jednem słowem stworzył sytuację, któraby sama za siebie mówiła i świadczyła o tem, że żona mnie zdradza. Chociaż żona moja jest bogata z domu i ma swój własny majątek, żądałaby w razie niezawinionego rozwodu dużych alimentów, których, rzecz prosta, nie chcę płacić. Wobec tego, że nasze mieszkanie się obecnie odnawia, zamieszkała ona u swej przyjaciółki na ul. Wiejskiej. Widuję się z nią rzadko, tem łatwiej więc może pan z nią się spotkać i tem swobodniej kierować całą akcją. Pretekst, pod którym pozna pan moją żonę już wymyśliłem: otóż będzie ona dzisiaj w kawiarni „Capriccio" o piątej ze swym wujem, starszym panem, który bardzo ją kocha. W kawiarni tej, jak pan wie, tańczy się popołudniu: od pana już będzie zależeć jak poznać moją żonę, co w takich razach nie jest rzeczą zbyt trudną. Wolałbym, aby to było poznanie przypadkowe, kawiarniane, a nie przez kogoś ze wspólnych znajomych. Łatwo panu będzie ją odszukać: dla dokładności powiem panu, że jest piękną brunetką, będzie dziś w granatowej jedwabnej wieczorowej tualecie, z czarnym kapeluszem z rajerem. Reszta do pana należy.

W miarę jak mówił Warciński, Charcickiemu stawały w oczach różne obrazy przyszłości, jakie miały się wkrótce rozegrać. Był nieco zaniepokojony, że jego lekkomyślny żart tak prędko zaczął nabierać realnych kształtów. Ale trudno: gra się zaczęła, trzeba ją było doprowadzić do końca.

— Postaram się, aby wszystko wypadło jak najlepiej — zapewnił Warcińskiego.

— Jeżeli chodzi o honorarjum... — rozpoczął znów mały łysy człowieczek...

— Nie mówmy o tem chwilowo, zobaczymy w przyszłości, zależnie od rozwoju wypadków, zastrzegał się Charcicki, odczuwając nieprzyjemnie praktyczną stronę tej całej sprawy.

Gdy opuszczał dom Warcińskiego, był gotów doprowadzić całą sprawę do końca. „Zwierzyna" była przystojną, młodą, bogatą kobietą. Była brunetką: Charcicki czuł do pięknych brunetek nieprzezwyciężoną słabość. Zaczął się interesować swem zadaniem jak detektyw-amator, który gotów jest poświęcić wiele, aby postawić na swojem i wykazać swe zdolności.

Punktualnie o piątek przestąpił próg eleganckiej kawiarni „Capriccio", w której jedwabne tapety w kwiaty czerwone i złote, kryształy świeczników, nieskalana biel obrusów i doborowa publiczność tworzyły miły dla oka obraz.

Rozglądnął się po sali: pięknej brunetki jeszcze nie było. Trzeba było poczekać. Zamówił angielską, mocną herbatę i kieliszek wermutu.

Dyskretne tony muzyki rozległy się po sali. Naokoło słychać było rozmowy w kilku językach, gdyż kawiarnia uczęszczana była licznie przez zagraniczną publiczność. Jak sęp spoglądał raz po raz w stronę drzwi wejściowych, spodziewając się, że każdej chwili może wejść pani Warcińska.

Pomimo, iż niejedną już przeżył przygodę, ukazanie się pięknej brunetki w towarzystwie starszego pana zemocjonowało go nie na żarty. Panią Warcińską był nikt inny jak tylko wczoraj zauważona piękna kobieta, którą obserwował przed owym bogatym w skutki telefonem! Serce zabiło mu żywiej: pani Warcińska rzuciła wchodząc badawcze spojrzenie po sali, szukając znajomych. Gdy wzrok jej zatrzymał się na Charcickim, lekki uśmiech ukazał się na jej pięknej twarzy. Poznała go! A co więcej, miło jej było go widzieć!

Gdy w chwilę później znów dały się słyszeć melodje tanga, Charcicki podszedł do stolika pięknej pani i poprosił ją do tańca. Wiedział, że postępuje wbrew przyjętym w dobrem towarzystwie zwyczajom i popełnia pewien nietakt, nie znając ani pani, ani jej towarzysza, ale spojrzenia Warcińskiej były tak ciepłe, że był pewien, iż postępek jego przywitany będzie z uznaniem.

Wymówił swe nazwisko i kilka dosyć zdawkowych słów, wyrażając swe spostrzeżenie, że piękna pani nie tańczy zapewne w braku dansera, gdyż towarzysz jej zdaje się być wrogiem tańca, więc pozwala sobie zaofiarować swe w tym kierunku usługi. Kilka tych słów powiedziane były z taką miłą i uprzejmą szczerością, że wywarły nietylko na pani Warcińskiej, ale też na jej towarzyszu najlepsze wrażenie.

— Bardzo się cieszę, że moja siostrzenica znalazła miłego towarzysza i dansera! — oświadczył starszy pan jowialnie. Bawcie się, jesteście młodzi, a mnie trudno dotrzymać kroku pięknej młodej kobiecie, tem więcej, że oddawna już nie tańczę.

Objął ją mocnym, ciepłym uściskiem. Z wrodzoną sobie zręcznością począł mówić płynnie i ciekawie, chociaż pierwszy, a raczej drugi raz widział swą miłą znajomą. Ona zdawała się przysłuchiwać jego słowom jak miłej muzyce, chłonąć każde jego spojrzenie. Mówiła mało, ale oczy jej zdradzały jej uczucia. Ale i Charcicki zupełnie zapomniał o swem zadaniu: oddawał się nastrojowi chwili, był szczęśliwy ze spotkania ładnej, młodej kobiety, której się podobał i która jemu również niezwykle się podobała.

„Co za dureń ten jej mąż" — pomyślał w pewnej chwili.

Pani Warcińska poczęła mu opowiadać o swem życiu, o tem, że jest żoną nudnego i złego człowieka, który wszystko robi tylko dla zdobycia coraz to większego majątku, że wyszedłszy bardzo młodo zamąż wskutek namowy rodziny, wkrótce zorjentowała się, iż nie znajdzie w tem małżeństwie szczęścia.

Słowa jej dziwnie kontrastowały z tem, co usłyszał o niej od jej męża.

„Ktoś z was nie mówi prawdy" — pomyślał, ale postanowił czekać do chwili, kiedy cała tajemnica ich życia wyjaśni się przed nim.

Odprowadzając panią do jej stolika, ucałował jej długo piękną rękę.

Lecz nie powrócił już do swego stolika: wuj pani Warcińskiej zatrzymał go niezwykle serdecznie, zapraszając, aby im dotrzymywał towarzystwa. Widząc, że również sympatja wuja jest po jego stronie, skorzystał skwapliwie z zaproszenia.

W przeciągu dwóch godzin, jakie spędzili razem, wszyscy troje zaprzyjaźnili się serdecznie ze sobą, zyskując wrażenie, że znają się oddawna. Charcicki zdobył sympatję wuja pani Warcińskiej swem obyciem, swą inteligencją, swym darem konwersacji, ona zaś sama coraz bardziej uświadamiała sobie, że kocha go od pierwszego wejrzenia.

Gdy odprowadzał piękną brunetkę i jej wuja do auta, musiał przyrzec swej nowej znajomej, że w najbliższych dniach zjawi się u niej na herbacie.

— Musimy częściej urządzać takie wycieczki we trójkę — rzekł, śmiejąc się wuj pani Warcińskiej, tem więcej, żeśmy tak odrazu sobie przypadli do gustu.

Filuterne spojrzenie Iny potwierdziło słowa wuja, który nie miał pojęcia jak trafnie wyrażał myśli swej siostrzenicy.

W kilka dni później, gdy Charcicki siedział przy biurku, pisząc list w sprawie swoich nieszczęsnych akcyj, zadzwonił telefon.

Usłyszał głos Warcińskiego.

— No, co słychać? — Poznał pan moją żonę? Tak? I jakie pan odniósł wrażenie?

— Jak najlepsze! — odrzekł szczerze Charcicki.

Dokończenie na str. 24-tej.

Konkurs

NA STRÓJ NARCIARSKI

UWZGLĘDNIAJĄCY POLSKIE MOTYWY GÓRALSKIE

★

Strój narciarski (na prawo) niezwykle malowniczy, odznacza się bogactwem motywów ornamentacyjnych, które w szerokiej mierze powinny być uwzględnione w stroju polskich narciarzy, jak dotąd szarym i bezbarwnym (poniżej), lub czasem zbyt krzykliwie naśladującym zagraniczne wzory.





Skład osobowy Jury Konkursu Magazynu „As" na strój narciarski, uwzględniający polskie motywy góralskie, jest następujący:

P. Janina Koźmińska, członkini Komisji propagandowej F. I. S. — p. Ewa Mieroszewska — p. dr. Kazimierz Harhat-Załuski, wiceprezes P. Z. N. — p. Janusz Marja Brzeski — p. prof. Mieczysław Dąbrowski — p. mgr. Juljusz Leo — p. Jan Maleszewski — p. Antoni Wasilewski, przewodniczący Komisji artystycznej F. I. S.

Siedem projektów, które Jury uzna za najlepiej odpowiadające warunkom Konkursu, otrzyma następujące nagrody:

250 złotych jako nagrodę Ligi Popierania Turystyki — Tygodniowy pobyt w Zakopanem podczas zawodów F. I. S. jako nagrodę Polskiego Biura Podróży „Orbis" — Strój narciarski męski (za projekt stroju męskiego) wykonany wedle jednego z nagrodzonych projektów, jako nagrodę Firmy „Bracia Lankosz", Zakopane, ul. Krupówki 46 — Dwutygodniowy pobyt w Zakopanem, jako nagrodę Gremjum Właścicieli Hoteli i Pensjonatów w Zakopanem. — Strój narciarski kobiecy (za projekt stroju kobiecego) wykonany wedle jednego z nagrodzonych projektów, jako nagrodę Firmy „Bracia Lankosz", Zakopane, ul. Krupówki 46. — Dwa kupony materjałów pierwszej klasy na ubranie męskie lub kobiece, jako nagrody Konwencji Fabrykantów Sukna Bielska, Białej i okolicy z siedzibą w Bielsku, ul. Marsz. Piłsudskiego 4.

Projekty należy nadsyłać oznaczone godłem, a imię, nazwisko i dokładny adres w osobnej, zamkniętej kopercie oznaczonej tem samem godłem.

Redakcja.

ZAKOŃCZENIE KONKURSU MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!



„W drodze na Halę" — Fot. B. Kityński, Stryj.



„Na Dniestrze" — Fot. Sekcja Wodna A. Z. S. Lwów.



„Nad przepaścią"
Fot. J. Wyszyńska, Poznań.



„Żniwa"
Fot. Ł. K. Kraków.



„W reflektorze" — Fot. Teodor Müller, Turek.

Zamieściliśmy dzisiaj ostatnią serję zdjęć, przysłanych na „Konkurs wakacyjny". Tem samem został on zakończony i Jury przystąpi do prac, związanych z oceną zdjęć i przyznaniem pięciu cennych nagród. Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone w najbliższym numerze Magazynu „As".

Przypominamy, że nagrodami w „Konkursie wakacyjnym" są:

Aparat Ciné Kodak 8 model 20 i aparat Kodak Regent f. 4.5, ofiarowane przez Firmę „Kodak", Warszawa I, plac Napoleona 5 — dalej wytworny neseser podróżny, ofiarowany przez Firmę Anastazy Froncz, Kraków, ul. Florjańska 17 — oraz dwie nagrody ofiarowane przez Wydawnictwo Magazynu „As": Aparat radjowy „T 4 z" czterolampowa superheterodyna marki „Telefunken" i półwyścigowy rower, fabryki Rybowskiego.



„Przed zachodem słońca"
Fot. G. Hawranek, Drohobycz.



„Na Wiśle"
Fot. mgr. J. Chuniec, Dolina.



„Za chwilę odjazd"
Fot. H. Rychterowa, Dąbrowa Tarnowska



„Wielka woda"
Fot. dr. Zimmerman, Lwów.



„Kąpiel"
Fot L. Hirsch, Pistyń.



„Mały psotnik"
Fot. J. Kocur, Rzeszów.



„Przeprawa"
Fot. J. Cozac, Bielsko.



„Rusałka"
Fot. Z. Korboński, Warszawa



„Na Zaolziu"
Fot J. Rzyman, Lubliniec.



„Żywa przeszkoda"
Fot. W. Schwarzowa, Ciężkowice.



„Śniadanie sarenki"
Fot. dr. S. Oberc, Kościan.



„Wodna ekwilibrystyka"
Fot. Ola Zbaska, Zaniemyśl.



Na Wielkiej Raczy
Fot. A. Nowakowa, Żywiec.



„Płytka woda"
Fot. S. Rychter, Dąbrowa.



„Flirt z amorkiem"
Fot. R. Rygol, Bydgoszcz.



„Dojrzewające owoce"
Fot. mgr. I. Górecka, Schodnica



„Na Babiej"
Fot. C. Thuille, Lwów.



„Wśród skał"
M. Mukołowska, Kołaczkowo.



„Na jeziorze"
Fot. B. Kowalikówna, Poznań.



„W namiocie"
Fot. W. Vitek, Sokal.



„Podwieczorek w lesie"
Fot. M. Brzozowski, Lida.

OBYCZAJE ★ NOWEGO ★ ŚWIATA:

„CUTTING"

W TAŃCU I NA CODZIEŃ



W Ameryce panują „nieco" inne obyczaje, niż w Europie — U. S. A. to kraj wszelakich ekstrawagancyj!

Tegoroczny pobyt w N. Jorku dał mi pole do obserwacji tak aktualnego zawsze i wszędzie problemu zawierania małżeństw. Znajomość z Ethel Q. datuje się z Paryża, gdzie „studjowała" życie wielkoświatowe, ułatwiła mi zadanie.

Spotkaliśmy się na jednym z licznych balów, gdzie musiałem jej obowiązkowo towarzyszyć, jako europejski wielbiciel, którym jak jakimś egzotykiem, imponowała swym rówieśniczkom.

— Mam dość tego balu — rzekła.—Chodźmy do państwa Stone.

— Ależ obrażą się na nas gospodarze i ich córka.

— A czy nie widzisz, jak znika cała młodzież i to bynajmniej nie w kierunku bufetu. W tem właśnie całe nieszczęście, że bufet zbyt skąpo zaopatrzono w szampana. Pójdziemy do państwa Stone, gdzie napewno trunków nie zabraknie i bawić się będziemy mogli doskonale do białego rana. Tu udała się tylko kolacja, ale też nie pozostał na placu żaden nieprzyjaciel.

— Może jednak... Nie zdołałem dokończyć zdania, a już moja urocza towarzyszka wystąpiła z najsilniejszym argumentem, którym pobija mnie we wszelkich dyskusjach.

— Tu nie Europa, mój drogi. Znów zapominasz, że jesteśmy w Ameryce, że w tem co robię niema niczego, co nie mogłoby uchodzić osobie z dobrego towarzystwa. A teraz spiesz się, bo większość młodzieży już „zwiała".

Istotnie, salon pustoszał z minuty na minutę, choć dobra muzyka jazzowa zachęcała do tańców. Jak się potem dowiedziałem, wyszła także i Violet ze swymi gośćmi, bynajmniej nie urażona tem, że bal u jej rywalki powiódł się lepiej. Prawdziwie pożałowania godni byli tylko rodzice Violety, którym czyniła gorzkie wyrzuty o niedostateczne zaopatrzenie bufetu w butelki ze strzelającymi wesoło korkami.

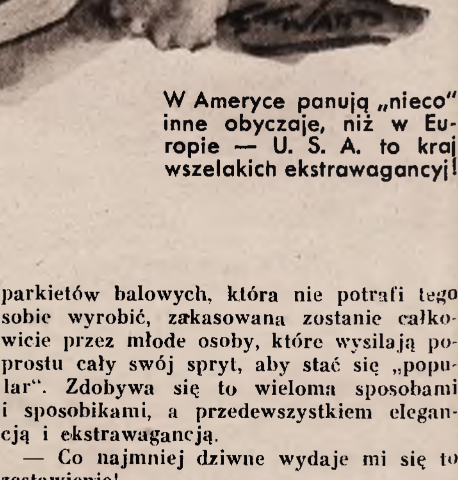
U państwa Stone bawiliśmy się istotnie znakomicie. Ja zaś byłem podwójnie zadowolony, bo ulegając nałogowi dziennikarskiemu, mogłem czynić wywiady na prawo i lewo, obserwując przytem bacznie tańczących. Danser nie odprowadza tutaj danserki na miejsce po skończonym tańcu. Po pierwsze dlatego, że tańczy się bez przerwy kilka godzin z rzędu, a po drugie dlatego, że taniec opiera się na czemś, co się nazywa „cutting". Polega to na tem, że młodzież odbiera sobie tancerki po kilku turach, coś jak przy naszym „odbijanym" w mazurze. Ot, poprostu uderzam po ramieniu sąsiada w tańcu, na znak, że mi się jego tancerka podoba i rozpoczynam z nią taniec, przerwany niebawem przez innego z bardzo licznych na balu młodych ludzi.

Zwyczaj ten wprowadzono po wojnie, jak objaśniła mnie jedna z matek, licznie towarzyszących córkom po balach i będących największemi ich ofiarami, podobnie jak niemi były w Europie przedwojenne mamy i ciocie, siedzące cierpliwie na krzesłach wokół sali balowej.

— Pan myśli, że to łatwo wydać dziś zamąż córkę w Ameryce... Aby wyjść zamąż, trzeba być tutaj „popular". Dobjutantka parkietów balowych, która nie potrafi tego sobie wyrobić, zakasowana zostanie całkowicie przez młode osoby, które wysilają poprostu cały swój spryt, aby stać się „popular". Zdobywa się to wieloma sposobami i sposobikami, a przedewszystkiem elegancją i ekstrawagancją.

— Co najmniej dziwne wydaje mi się to zestawienie!

— Nas nic już nie dziwi. Młode panny muszą osiągnąć wysoki poziom elegancji tak w ubiorze jak i makijażu. Zresztą elegancję wystandaryzowała nasza Ameryka, podobnie jak... jaja, mleko kondensowane, czy pomarańcze. Wedle stopnia tej standartowej elegancji dzielimy panny na wydaniu



— Czy w Europie panna z dobrego domu odgrywałaby rolę manekina w domu mód?

najdoskonalej wyselekcjonowanej, która jest szczytem hierarchji towarzyskiej, należą panienki z najlepszych domów. Nie wychowują ich matki, lecz najpierw jakaś angielska lub francuska „nurse", a potem gawernantki i kolegja. Panienki te jeżdżą znakomicie na koniu, grają świetnie w tenisa i golfa, no i oczywiście w bridża... Jeden lub dwa lata spędziły w Europie, w jakiemś kolegjum we Francji lub Szwajcarji, czy we Włoszech. Domyśla się pan, że są to osóbki z najwyższej arystokracji amerykańskiej, szczycącej się już nawet drzewami genealogicznemi, niczem arystokratyczne rody europejskie.

— A kogo reprezentują kategorje B i C?

— Jak łatwo stwierdzić, są to panienki skromniejszych domów i skromniejszych wymagań, które zato w porównaniu z tamtemi muszą się nieco liczyć z reputacją. Im nie uchodzą wszelkiego rodzaju ekstrawagancje. A już biedaczki z kategorji C, to poprostu córki dobijających się pozycji towarzyskiej nuworiszów, które oczekują tylko na sposobność, aby panienka „A" zaprosiła je do swego domu lub zabrała na bal do znajomych.

— Mówiła pani o ekstrawagancjach...

— Odpowiem zapytaniem. Czy w Europie poszłaby panienka z dobrego domu do magazynu dla odgrywania roli żywego manekina lub sprzedawczyni?

— Hm.... wątpię.

— A tutaj jest to bardzo modne i lubiane.

— Pan się dziwi? Przecież to tak miło popisywać się przez cały dzień dobrą figurą, imponować wysportowaną sylwetką o pięknie modelowanych kształtach, o co już od dzieciństwa dbają mistrzowie kultury fizycznej przyszłych dziedziczek wielkich fortun amerykańskich.

— Czy nic poważniejszego nie interesuje Amerykanek przed ich wyjściem zamąż?

— Owszem. Czasami uczęszcza się dla rozrywki na wykłady uniwersyteckie, ale o ileż przyjemniejsze są... bary i sale dancingowe lub kino! Uniwersytet pachnie zdaleka staroświecczyzną, od której się starannie stroni.

Porwany przez jakąś rozbawioną i roześmianą Miss, znalazłem się szybko w kole tańczących.

— Jakie jest najważniejsze zajęcie w pani wieku? — pytam złotowłosego trzpiota.

— Zdobycie powodzenia.

— A ponadto?

— Zdobycie męża i to w jak najkrótszym czasie.

— Czy trzeba podobać się pani, aby zostać kandydatem?

— Ach, to jest bez większego znaczenia. Pierwszy mąż w życiu nowoczesnej kobiety prawie że się nie liczy. On jest tylko pierwszym stopniem do zdobycia wolności. To też najlepiej brać za męża pierwszego z brzegu, jaki się nawinie.

— A jeżeli współżycie nie ułoży się korzystnie dla pani?

— Rozwiodę się i wyjdę za innego.

Urok niebieskich oczu, różanej cery i świetlistych włosów, był tak duży mimo wygłaszanych karminowemi usteczkami herezyj, że omal nie padły z ust moich jakieś wiążące słowa. Cóż, kiedy w tym momencie mocna dłoń wsparła się na mem ramieniu i już urocze zjawisko, uwiedzione przez „cutting", znikło mi z oczu.

Nie widzieliśmy się więcej tej nocy. Może to i lepiej. Niemniej, z cichą nadzieją wybrałem się na następny bal, który stanowił zresztą clou sezonu nowojorskiego wielkiego świata, jako najelegantsze zebranie towarzyskie dla „debjutantek", urządzone w jednym z hoteli o najlepszej marce. Każda z „debjutantek" przyprowadza z sobą po kilku młodych ludzi na taki bal. W N. Jor- — jeleń, źrebak, byczek, jak kto woli. A więc, jest to owo słynne polowanie „z jeleniem" na męża czy na posażną pannę.

W hallu przepełnienie. Karty wstępu i zaproszenia kontrolowane są skrupulatnie przy wejściu. Wygalowany mistrz ceremonji mierzy od stóp do głów sylwetki młodych ludzi, lustrując lakierki, kołnierzyki i białe rękawiczki (przydałoby się to nieraz na europejskich balach).

Po złożeniu garderoby wchodzą młodzi ludzie pojedynczo do salonu, u progu którego elegancki lokaj zapowiada każdego po nazwisku. Sala przepełniona gośćmi, którzy zwolna rozchodzą się w różne strony, do sali tanecznej czy bufetu lub bocznych salonów.

Na sali tanecznej prawdziwy tłok dobrze się prezentujących „stags". Bal będzie napewno udany. Wokół sali biegnie na wysokości pierwszego piętra galerja, gdzie zabawiają się rodzice i przyjaciele młodych, którzy tańczą na dole.

Środek sali zajmują zwartą grupą młodzi ludzie, wokół których kręcą się tańczące pary, często rozrywane przez „cutting". Zagęszczone w środku pary skierowują się ku przestronniejszym miejscom na obwodzie „ringu". Czasami ktoś chce potańczyć dłużej z damą swego serca i wysuwa się coraz bardziej z zaklętego koła, gdzie bezustannie rozrywa tancerki rozbawiona młodzież. Ale choćby serduszko mówiło inaczej, nie zechce żadna z debjutantek wycofać się z ringu, lić się po skończonym balu, jest miarą sukcesu, który nie pozwala na kierowanie się jakiemiś sentymentami.

Panowie dbają ze swej strony, aby nie zostać ani na chwilę bez pary. W ogólnym tumulcie nie zauważa się, co dzieje się z panienką, opuszczoną dla innej tancerki. A tylko natrafiwszy na jakąś brzydulę, bo i te się przecież zdarzają, może powstać obawa, zresztą słuszna, że już nikt jej nie zechce odebrać. Nierzadko zdarza się, że taki bezceremonjalny młodzieniec wywija poza sobą banknotem pięciodolarowym dla skuszenia kolegów do wymiany tancerki. Ostatecznie, tak czy owak, pieniądze przeznaczone są na trunki. Spotkanie w barze przy cocktailu obfituje potem w rubaszne śmiechy przy opowiadaniu tłustych kawałów.

Orkiestra gra bez przerwy jeden taniec za drugim. Gdy młodzież zaczyna się wycofywać przypadkiem z ringu przed kolacją, którą podaje się po północy, szef orkiestry podnosi pałeczkę do góry i okrzykiem „Stags on the ring" zagania wszystkich do tańca.

W przerwie balu po dwunastej odbywa się przyjęcie, standaryzowane jak wszystko w Ameryce. Szynka „a la King", kurczęta w białym sosie ze sałatą (koniecznie witaminy), sery, konfitury, lody, owoce.

Po kolacji bal toczy się już bez przerwy do rana. Humory są coraz bardziej wybuchowe. Już się nie tańczy, ale skacze. Ring przypomina mecz bokserski lub rugby...

Dokończenie na str. 20-tej.



Na prawo: Co chwilę danserki zmieniały w tańcu swych partnerów...

Ziemia, na której żyjemy, zmieniała wiele razy w ciągu setek miljonów lat istnienia wygląd swej powierzchni. Wiemy dzisiaj dobrze, że inaczej wyglądały lądy i morza w czasach minionych. Na miejscach wielu dzisiejszych miast czy osiedli wiejskich szumiało kiedyś morze, pełne ryb i innych zwierząt morskich. Gdzieindziej znowu, gdzie dzisiaj morze, istniał ląd z roślinnością inną od obecnie nam znanej.

Bo całkiem inaczej wyglądało kiedyś życie na naszym globie. W najstarszych skałach nie znajdujemy żadnych śladów życia, w późniejszych dopiero spotykamy się z przedstawicielami świata roślinnego czy zwierzęcego o najprostszej, najprymitywniejszej budowie. Powoli pojawiać się zaczyna świat roślinny i zwierzęcy o budowie bardziej złożonej. Całych setek miljonów lat trzeba było, by pojawiły się pierwsze kręgowce — praryby, mało podobne zresztą do tych, które ożywiają dzisiaj wody mórz czy strumieni.

Długie dziesiątki lat trwające żmudne badania licznych zastępów badaczy, początkowo często przyrodników-amatorów, z czasem zorganizowanych specjalistów z różnych działów nauk, pozwoliły nam wglądnąć nieco lepiej w życie wieków minionych. Jakże inny to był świat od dzisiejszego! Jakżeż dziwaczne wydają się nam zwłaszcza formy świata zwierzęcego — tę dochodzące często do potwornej wielkości zwierzęta „przedpotopowe"!

Szczególnie świat gadów, które dzisiaj zajmują podrzędne całkiem stanowisko w świecie zwierzęcym, zwraca naszą uwagę. W naszych czasach naczelne stanowisko w królestwie zwierząt zajęły ssaki i ptaki, z którymi też najczęściej mamy sposobność się zetknąć. Były jednak długie okresy w historji ziemi, kiedy ptaków jeszcze wcale nie było, a nieliczne i drobne ssaki nie miały większego znaczenia. Panowały natomiast wtedy wszędzie — na lądzie, we wodzie czy nawet w powietrzu — potężne gady.

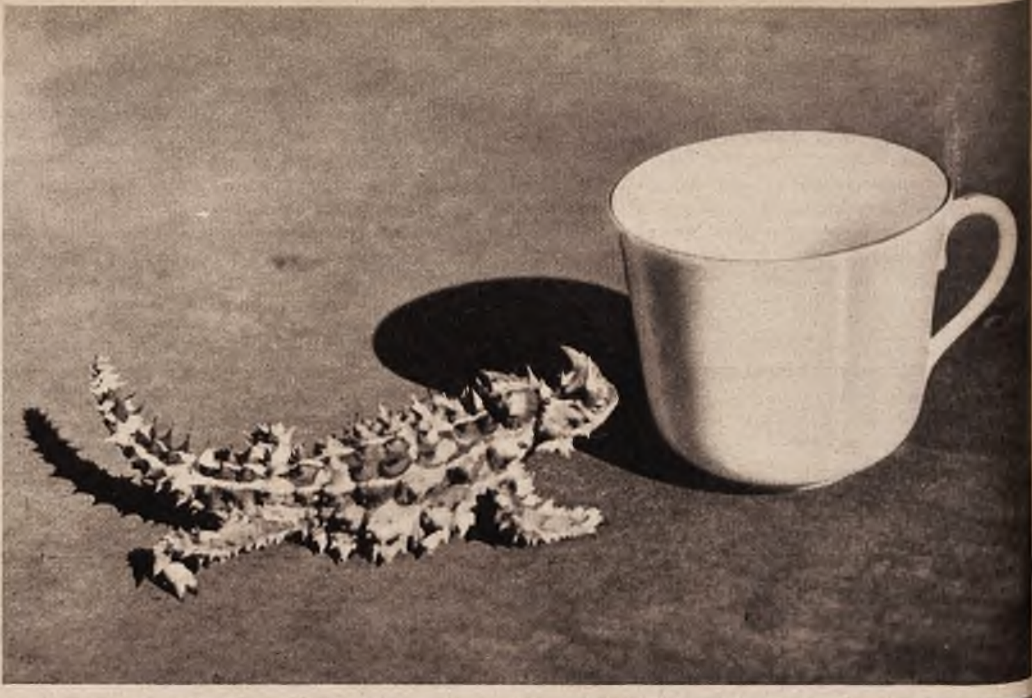
Pojawiły się one z końcem epoki węglowej, conajmniej jakieś trzysta miljonów lat temu. Początkowo były nieliczne. Szybko jednak rozwinęły się bujnie, wypierając z naczelnego stanowiska płazy. Na uwagę zasługuje grupa dynozaurów, którą początkowo reprezentowały zwierzęta nieznacznej wielkości, później jednak prawdziwe olbrzymy o dziwacznych kształtach. Największem zwierzęciem, jakie kiedykolwiek istniało na ziemi, był należący do dynozaurów afrykański Gigantosaurus o długości 35 metrów i ważący conajmniej 40.000 kg. Tylko o 10 metrów mniejszy od niego był amerykański Brontosaurus.

Charakterystyczną postać posiadały stegozaury, należące również do dynozaurów. Były to zwierzęta o wielkości dochodzącej do 10 m długości, przyczem wzdłuż grzbietu biegły dwa rzędy potężnych ostro zakończonych płytek kostnych, przechodzących w części ogonowej jakby w olbrzymie ostrogi czy kolce. Niesamowity wygląd musiało posiadać to zwierzę i niewątpliwie przeraziłoby każdego ze współczesnych, któryby napotkał tego prawdziwego smoka.

I te gady, jak i wiele setek i tysięcy gatunków zwierząt kopalnych, należą już do bezpowrotnej przeszłości, o której świadczą tylko gdzieniegdzie znajdywane resztki szkieletów. Musiały one ustąpić innym, które lepiej potrafiły się przystosować do nowych warunków, jakie nastały. Olbrzymy z minionych epok podziwiać możemy tylko w muzeach geologicznych.

Niekiedy wśród dzisiejszych form świata zwierzęcego, do których przywykło już nasze oko, zdarzają się takie, które niezwykłością postaci jak gdyby przenoszą nas w mi-

Dokończenie na str. 24-ej.







Dziś





I PRZED MILJONAMI LAT...

Na lewo od góry: Jaszczurka australska „moloch horridus", której minjaturowe kształty możemy ocenić na podstawie porównania z filiżanką, jakże żywo przypomina swą sylwetką przedpotopowe olbrzymy...



Stegozaury, potwory z grupy dynozaurów, które żyły przed 200 miljonami lat.

Jeżeli się mówi o uroku polskich dworów, to w pierwszym rzędzie na określenie to zasługują dwory w Kaliskiem. Nie spotyka się tu dworu zaniedbanego, opuszczonego, sprawiającego wrażenie ruiny. Każdy dwór jest świetnie utrzymany, upiększony kwieciem, okolony pięknym parkiem. Tonie w powodzi kwiatów i zieleni. Równie pochlebne słowa można powiedzieć o właścicielach majątków, którzy wzorowo gospodarują, ciężko pracując na swej ziemi.

Zapoznajmy się więc z dworami kaliskimi, których wiekowe tradycje warte są poznania.

Majątek Kamień pod Kaliszem należał przed wiekami do dóbr arcybiskupów gnieźnieńskich. Tutaj w r. 1271-szym odbył się



Na prawo: Piękna kolekcja rogów zdobi jeden z salonów dworu pp. Wyganowskich w Złotnikach Wielkich.

Dwory w Kaliskiem...

zjazd książąt polskich, ustanawiających statuty prowincjonalne. W r. 1544-tym Kamień przechodzi w ręce Jana Zaremby, wojewody kaliskiego, zmieniając następnie kilkakrotnie właścicieli. W wieku XVIII-tym, od sukcesorów Ponińskiego, nabył Kamień p. Gembarth i od tego czasu majątek ten ośmiokrotnie dziedziczony jest po kądzieli. Ostatnio, po kądzieli, dziedziczy Kamień p. Jałowiecka z domu Romocka, zamężna za Mieczysławem Bożeńcem Jałowieckim. Niezwykle sympatyczni właściciele pięknego dworu pokazują mi szereg ciekawych pamiątek rodzinnych, wśród których zwraca przedewszystkiem uwagę piękny portret gen. Umińskiego, prapradziadka pani domu. Oficer ten pierwszy wkroczył do płonącej Moskwy podczas wyprawy napoleońskiej. Jak mnie informuje p. Jałowiecka, mundur gen. Umińskiego oraz pistolety, ofiarowane mu przez ks. Józefa Poniatowskiego przekazała do muzeum w Warszawie. Przed niedawnym czasem, podczas restauracji dworu, znaleziono w suficie zamurowaną szablę. Należała ona również do gen. Umińskiego, który zmuszony był do ucieczki z kraju przed zaborcami i umarł w nędzy na obczyźnie.

Równie ciekawym zabytkiem w Kamieniu jest budynek b. zboru arjańskiego z XVI-go wieku. Obecnie w tym budynku mieści się spichrz.

Dodać tu jeszcze należy, iż p. Jałowiecki jest znanym i cenionym działaczem społecznym, tak na terenie Kalisza, jak i okolicy.

W pobliżu Kamienia leży majątek Zborów, należący do pp. Garczyńskich. Dwór okala wspaniały stary park, posiadający piękny szpaler z kasztanów. Zborów należał kiedyś, jak również pobliski Żelazków i Złotniki Wielkie do Radolińskich. Oni też zbudowali w majątkach tych dwory, które, choć mają rdzennie polski charakter, to jednak widać w nich pewien wpływ budownictwa włoskiego. Tłumaczyć to należy częstemi podróżami Radolińskich do Italji. Dwór w Zborowie zbudowany w XVIII-tym wieku posiada przepiękny pokój jadalny, umeblowany staro-gdańskiemi, pięknie rzeźbionemi meblami. Wspaniały jest również salon w stylu Ludwika XV-go. O kilometr od Zborowa leży Żelazków, własność p. Józefa Radońskiego. I tutaj, poza pięknie urządzonym dworem, znajduje się duży park, starannie pielęgnowany.

Wiele uroku i swoistego piękna posiada dwór w Złotnikach Wielkich, malowniczo położony w środku wspaniałego parku. Majątek ten wzorowo zagospodarowali pp. Wojciechostwo Wyganowscy, obecni jego właściciele. Dwór, postawiony przed przeszło stu laty, tonie latem cały w kwiatach. Jest to zasługą pani domu, która kochając kwiaty, upiększyła niemi nietylko sam dwór, lecz i cały, duży, piękny park. Podobno w miejscu, gdzie obecnie stoi dwór, mieścił się ongiś klasztor, w parku natomiast był kościół, który następnie przeniesiony został do Goliszewa. W miejscu, gdzie znajdował się kościół, stoi figura św. Stanisława. Trzeba jeszcze zaznaczyć, iż państwo Wyganowscy niezwykle życzliwą opieką otaczają okoliczne włościaństwo, które we dworze zawsze znaleźć może właściwą radę, opiekę i pomoc.

Zupełnie w innym rodzaju, odbiegającym od charakteru pozostałych dworów w Kaliskiem, jest dwór w Borkowie, majątku, należącym do prezesa miejscowego Związku Ziemian p. Chełkowskiego.

Od roku, panią tego dworu została znana literatka holenderska p. Maria Louise v. Bt. Croiset van Uchelen Kemblan Chełkowska, pisząca pod pseudonimem „Mia Ceraun", autorka dwóch książek: „Batavia — Singapore" w języku holenderskim i „Nacht in Macao" w języku niemieckim. P. Chełkowska bardzo wiele podróżowała, zwiedzając cały świat. Miła pani domu włada płynnie 9-cioma językami, a między in. jawajskim i malajskim, słabo natomiast mówi po polsku, co usprawiedliwione jest jej krótkim pobytem w naszym kraju. Podczas mego pobytu w Borkowie miało miejsce zabawne zdarzenie: p. Chełkowska, chcąc wydać polecenie służbie, aby szukała jakiegoś przedmiotu użyła zamiast słowa „szukać", słowa — „szczekać". Wynikło z tego śmieszne nieporozumienie — a p. Chełkowska z zapałem poczęła się uczyć rozróżniania trzech słów: „czekać", „szukać" i „szczekać". Przypuszczać jednak należy, że przy niesłychanych zdolnościach lingwinistycznych p. Chełkowskiej, mówić ona będzie już niezadługo zupełnie poprawnie językiem swej przybranej ojczyzny.

Dwór w Borkowie, wybudowany w 18-tym stuleciu został w ub. roku zupełnie zmieniony w swym charakterze przez Panią domu. Urządziła ona dwór w stylu zupełnie nowoczesnym. Jest tu i miniaturowy bar, kącik wschodni — wiele pięknie, nowocześnie, urządzonych pokojów oraz szereg ciekawych drobiazgów z różnych krajów.

Śliczny dwór, okolony pięknym parkiem znajduje się w Majkowie, majątku należącym do pp. Karśnickich. Właściciel majątku poseł Ziemi Kaliskiej, znany jest z chlubnej pracy społecznej, natomiast przemiła pani domu jest dosłownie uwielbiana przez okolicznych włościan, którym zawsze w czasie choroby czy nieszczęścia niesie pomoc. Państwo Karśniccy stanowią ten niezwykle wartościowy typ ziemian, dla których chata wieśniacza jest częstem miejscem pobytu i którzy otoczeni są pełnym szacunkiem i miłością okolicy. Piękny park w Majkowie dekoruje niezwykle efektownie 5 stawów. I tutaj jest wiele kwiecia, które dodaje uroku pięknemu dworowi.

O kilka kilometrów do Majkowa leży Rzegocin, własność pp. Leonostwa Bronikowskich. Stuletni dwór wznosi się wśród



Pp. Chełkowscy przed stylowym dworem w Borkowie.



Rasowa klacz „Iskra" jest ulubioną wierzchówką p. Ireny Bronikowskiej z Rzegocina.

ładnie urządzonego, starego parku. W majątku tym istnieje wzorowa hodowla koni. Rasowe te zwierzęta otoczone są troskliwą opieką właścicieli majątku — wielkich ich miłośników. Córki państwa Bronikowskich p. p. Irena i Lila również otaczają szczerym sentymentem szlachetne zwierzęta. Dodać tu również należy, iż p. Leon Bronikowski, będąc prezesem miejscowego Związku Hodowców, położył na tem polu poważne zasługi. Rezolutna panna Irena, oprowadzając mnie po ładnym parku z nieodłączną rasową alzacką owczarką „Fanny" udziela mi szeregu ciekawych informacyj o hodowli koni i ogrodzie handlowym, który znów jest otoczony szczególną opieką przez gospodarzy domu.

W posiadaniu rodziny Bronikowskich znajduje się również drugi majątek w powiecie kaliskim — Szczypiorno, własność państwa Józefowstwa Bronikowskich. Tutaj ładny dwór okolony jest młodym jeszcze, lecz starannie utrzymanym parkiem. I tutaj znajduje się na szerszą skalę prowadzona hodowla koni.

Wspaniały, stary park, może najpiękniejszy w kaliskiem, znajduje się w majątku Sulisławice, własności pp. Łaszczyńskich. Niegdyś, znajdujący się tu dwór był zameczkiem myśliwskim. W czasach, gdy w Sulisławicach były olbrzymie lasy — polowała tu okoliczna magnaterja. Tutaj również odbywało się „zbieranie kresek" na sejmiki kaliskie. Z czasów tych pozostały... olbrzymie piwnice, boć przecie każde polowanie, czy zbieranie „kresek" musiało być obficie oblane winem. Piwnice te przydały się wielce obecnemu właścicielowi majątku, który w nich przechowuje owoce ze swego wzorowo prowadzonego sadu. W parku sulisławskim, założonym około 200 lat temu przez fachowca Włocha, znajdują się prastare, okazowe wprost platany. Wnętrze dworu, gustownie urządzone, zwraca uwagę starogdańskimi meblami, pięknie rzeźbionymi oraz przedziwnej piękności norymberskiem biurkiem liczącem ponad 200 lat. Biurko to inkrustowane masą perłową znajduje się już od 4 pokoleń w rodzinie Łaszczyńskich i jest świetnie zakonserwowane.

Niemal już na granicy powiatu konińskiego, leży majątek Brudzew, własność pp. Przewłockich. Dwór, liczący około 300 lat okolony jest młodym jeszcze parkiem. Po całem gospodarstwie oprowadza mnie energiczna i czynna pani domu, pokazując mi swój świetnie zagospodarowany ogród i hodowlę koni, znajdującą się tu dopiero w zaczątku.

Piękny pałac znajduje się w majątku Piątek Wielki, będącym własnością pp. Psarskich. Olbrzymi ten pałac urządzony jest nowocześnie, estetycznie i komfortowo. Dokoła pałacu rozciąga się piękny park, który dzieli się na stary, posiadający przepyszne okazy wiekowych drzew oraz nowy, założony cztery lata temu przez dyr. Marcińca z Poznania. Ten młody park to istna bajka, na którą składają się wspaniale rozmieszczone okazy drzew i kolorowa symfonja kwiatów.

Krótki ten opis wędrówki po dworach kaliskich nie obejmuje ich wszystkich — natomiast o wszystkich dworach oraz majątkach w kaliskiem można powiedzieć, iż są świetnie zagospodarowane i że panuje w nich staropolska, serdeczna gościnność.

S. Kazanowska.









Na prawo od góry: Dwór w Złotnikach Wielkich wł. pp. Wyganowskich, zdobią latem piękne pnące krzewy. — Dwór w Żelazkowie własność p. Józefa Radońskiego. — Szczypiórno znane z czasów wojny światowej posiada obszerny staropolski dwór. — Rezydencja pp. Chełkowskich w Borkowie zbudowana jest w stylu pałaców XVIII w.

Wszystkie zdjęcia: S. Kazanowska — Kalisz.

Dokończenie ze str. 15-ej.

To też rodzice panien na wydaniu wolą te ıarce na obcym gruncie, w hotelu, aniżeli we własnym domu, który po zabawie wygląda, jak po najeździe Hunnów. W hotelu jest mnóstwo służby, która interwenjuje bez żenady w razie potrzeby. Pozatem niema nic do tłuczenia poza bufetem i salą jadalną, które dadzą się upilnować. Koszt więc równoważy się nawet wówczas, gdy przyjęcie odbywa się w najdroższym hotelu. Wsza młodzieży męskiej jest sześć lub siedm razy więcej od zaproszonych panienek. A na humorach i chęci szerokiej zabawy nie zbywa armji „stags".

Gdy zaproszono pewnego razu młodych ludzi mieszkających poza N. Jorkiem, trzeba było pomieścić ich na koszt gospodarzy balu w tym samym hotelu, gdzie bal się odbywał. Rachunki wyglądały przerażająco. Młodzież zamawiała bez pamięci najdroższe potrawy i napoje, rozmawiała telefonami na dalekie dystansy, a nawet naprawę i czyszczenie fraków załatwiano przez hotel, co figurowało w przedłożonych rachunkach.

Nie mam prawa nie wierzyć opowiadaniu dystyngowanej damy, która zabawiała mnie taką rozmową, szczególnie pikantną, jak dla Europejczyka. Być może, że zauważyła moje przerażenie i włosy stające mi dęba na głowie, bo znalazła dla tych wszystkich wybryków słowa pobłażliwej wyrozumiałości.

— Moja córka, na szczęście, jest już zamężna. Ale nie ma pan pojęcia, jakiem cieszyła się powodzeniem jako „debjutantka". Bale — noc w noc. Chodziła spać o dziesiątej rano. Zaproszenia na brydża i cocktail-party walały się po całem mieszkaniu. Mężczyźni dobijali się o możność tańczenia z moją Grace. Przechodziła z rąk do rąk w szalonem tempie „cuttingu", wypijała moc szampana i dżinu, setki młodych ludzi odprowadzało ją do domu. Ich okrzyki „helo" już zdaleka" anonsowały nam zbliżanie się naszej jedynaczki. Dziękujemy Bogu, że mieliśmy ją tylko jedną. Dwie córki wydać zamąż w tych warunkach, byłoby przedsięwzięciem ponad siły finansowe i psychiczne dla nas, ludzi innych czasów. Ale musimy dotrzymywać tempa życia młodych, to trudno.

— Dlaczego młodzi ludzie żenią się dopiero po tylu szaleństwach młodej panny? Przecież to przechodzenie z rąk do rąk, te flirty na prawo i lewo nie mogą im być przyjemne?

— Zapewne, ale każdy z nich chce się zabawić, a to najlepsza sposobność. Taka, która już nie powtarza się drugi raz w życiu. Więc korzystają i przymykają oczy na flirty przyszłej żony z innymi. Wierzą, iż panienki nie przekroczą pewnych granic i potrafią się same najlepiej upilnować, by w odpowiednim momencie zarzucić ostateczne sidła na tych, których poprowadzą do urzędu stanu cywilnego.

— Powiem panu więcej, jako Europejczykowi, który nie pozostaje wśród nas, lecz wraca na tamtą stronę wielkiego jeziora. Prezes Klubu Protestanckiego, ks. Parker Cadman, ogłosił smutną charakterystykę amerykańskich panien na wydaniu: „Nowoczesne obyczaje czynią młode panny podobnemi do tych bloków soli, które umieszcza się w prerjach, aby zwabić dzikie bestje, krążące po stepie".

Trudno istotnie o bardziej drastyczny obraz.

Opuszczając wybrzeża Nowego Świata, szczycącego się szalonym rozwojem techniki, rozbudowanego w drapacze chmur na miarę wielkoludów, myślę o tych problemach obyczajowych i jak z jednej strony wydaje mi się moje obserwacje były czynione w zbyt ekskluzywnych kołach, aby mogły być słusznie uogólniane, tak i opinja szanownego pana pastora nie kieruje się zapewne przeciwko całej młodzieży amerykańskiej, wśród której dojrzewają umysły przyszłych Wilsonów, Hooverów czy Rooseveltów.

J. Z. H.

Dokończenie ze str. 5-ej.

W tych warunkach mieli pracować pp. Curie przez 4 pełne lata, bo dopiero w r. 1902 udało się Marji Curie otrzymać jedną dziesiątą część grama czystego preparatu radowego i wreszcie oznaczyć ciężar atomowy, co zadecydowało o oficjalnem uznaniu pierwiastka radu. Uzyskanie preparatu radowego pozwoliło bliżej zapoznać się z właściwościami nowego pierwiastka i dać podstawę nauce i promieniotwórczości i budowie materji. M. in. stwierdzono, że rad jest jednym z ogniw rozpadu uranowego a stały jego stosunek do uranu wyraża się liczbą 1:3,000.000. Nic też dziwnego, że trzeba było całych miesięcy uciążliwej pracy, wymagającej nie tylko czujnej uwagi umysłu uczonego, lecz i wysiłku mięśni, by z przerobionych tysięcy kilogramów odpadków rudy uranowej otrzymać minimalne choćby ilości połączenia radu.

Odkrycie radu, wydzielającego samorzutnie promieniowanie i ciepło i dającego początek przez swój rozpad nowym ciałom promieniotwórczym, zapoczątkowało liczne badania i odkrycia całego szeregu pierwiastków zwanych promieniotwórczymi. Dawniejsze poglądy na istotę materji musiały ulec gruntownej zmianie. Nagroda Nobla w dziedzinie fizyki i chemji została wiele razy przyznana za badania związane z odkryciem z przed lat 40, za prace nad promieniotwórczością i budową atomu. Również i tegoroczna nagroda Nobla w dziedzinie fizyki została przed dwoma tygodniami przyznana znakomitemu włoskiemu uczonemu Fermiemu, który zasłużył się swemi badaniami nad promieniotwórczością.

Nowo odkryty pierwiastek stanowił nie tylko ważny materjał wyjściowy dla wielu badań związanych z budową materji. Wkrótce po jego odkryciu rozpoznano jego niezwykłe własności fizjologiczne niszczenia tkanek, co uczyniło z tego pierwiastka ważny środek walki z jedną z największych klęsk ludzkości — z nieuleczalnym dotychczas rakiem. Nowa gałąź lecznictwa otrzymała nazwę „Curieterapji". Otrzymywanie radu przestało być sprawą o charakterze czysto naukowym, a stało się potrzebą ludzkości.

Nie było rzeczą przypadku, że rad i inne pierwiastki promieniotwórcze odkryto dopiero tak niedawno. Zadecydowało o tem ich niezwykle skąpe występowanie w przyrodzie. Jedynie uran występuje w nieco znaczniejszych ilościach i tylko ten pierwiastek promieniotwórczy został poznany już z końcem wieku XVIII-go.

Rad występuje stale w związku z minerałami uranowymi, ponieważ jest produktem rozpadu tego pierwiastka. Dotąd poznano zaledwie dwadzieścia kilka połączeń uranowych, lecz tylko parę z nich występuje w ilościach, które pozwalają na eksploatację tego pierwiastka. Najważniejszym minerałem uranowym jest blenda uranowa czyli smolista zwana również uraninitem. Jest to ten właśnie minerał, z którego przez uciążliwą przeróbkę otrzymała Marja Skłodowska-Curie pierwsze ilości radu.

Najstarsza kopalnia radu znajduje się w Jachimowie (Joachimsthal), w Górach Kruszcowych; ostatnio z pod panowania czesko-słowackiego przeszła ona w ręce rządu niemieckiego. Kopalnia ta była już czynna od połowy ub. wieku: wydobywano uran do farb uranowych, mających zastosowanie w przemyśle szklarskim i ceramicznym. Po odkryciu radu przekonano się, że farby uranowe, otrzymywane z kruszców jachimowskich, nie wykazują własności promieniotwórczych: całkowita ilość radu, zawarta w blendzie uranowej, pozostała w odpadkach, odrzucanych jako materjał bezwartościowy. Odkrycie Marji Skłodowskiej-Curie uczyniło rzekomo bezwartościowe odpadki cennym surowcem.

Aż do wielkiej wojny rad wydobywany był wyłącznie w Jachimowie, który w ten sposób posiadał jak gdyby monopol radowy, decydując o cenie. Pierwszy gram radu kosztował 750.000 franków w złocie i nie szybko obniżyła się cena tego naprawdę najcenniejszego ciała. Dopiero odkrycie nowych złóż kruszców uranowych w Stanach Zjednoczonych spowodowało obniżkę ceny do 100.000 dolarów za gram, dalszą obniżkę sprowadziło odkrycie bogatych złóż afrykańskich.

Roczna eksploatacja radu w Jachimowie wynosi około 3 gramów, a całkowita ilość wydobytego tam radu nie przekracza 70 gramów. Tymczasem Stany Zjedn.. dzięki swym bogatym złożom uranowego minerału karnotytu w stanach Utah i Colorado dały w pierwszych latach wielkiej wojny produkcję 20 gramów, podnosząc ją w r. 1921 do „zawrotnej" cyfry 35 gramów; produkcja jednego roku przewyższyła 10-letnią produkcję Jachimowa. Od tego czasu jednak produkcja amerykańskich złóż obniża się, a wreszcie w r. 1927 ustaje całkowicie, zarówno wskutek wyczerpania się bogatych partyj złoża, jak i przez odkrycie bogatych złóż w Belgijskiem Kongo.

Afrykańskie złoża rud uranowych, odkryte w r. 1922, już w roku następnym dały produkcję 20 gramów, która w kilka lat później podniosła się do 60 gramów rocznie. Musiało to wpłynąć na cenę radu, która spadła do 70.000 dolarów za 1 gram Dla niedopuszczenia do dalszej obniżki, tow. eksploatujące afrykańskie złoża uranowe „Union Minière du Haut Katanga" ograniczyło produkcję radu w latach następnych.

Ostatnie lata przyniosły nowe odkrycie bogatych złóż uranowych, a mianowicie w północnej Kanadzie. Tuż pod kołem podbiegunowem nad brzegiem Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego odkryto bogate żyły blendy uranowej, doskonale nadające się do eksploatacji górniczej. Jedyną trudnością była wielka odległość od najbliższych osiedli. — Szybko jednak pokonano wszelkie trudności i obecnie przewozi się cenną rudę samolotami na odległość około 2000 km, skąd dalej już drogą kolejową prawie 2500 km do wielkich zakładów fabrycznych w Port Hope, gdzie metodą analogiczną do stosowanej w szopie małżonków Curie w Paryżu, przerabia się ją dla otrzymania cenego radu. Obecnie miesięczna produkcja złóż kanadyjskich wynosi ponad 5 gramów, co wpłynęło na dalszą obniżkę cen, która ostatnio ustaliła się na poziomie 25.000 dolarów za 1 gram. W porównaniu z przedwojenną ceną radu, jest to obniżka bardzo znaczna, pozwalająca na powszechniejsze stosowanie radu w lecznictwie.

Od kilku lat prowadzone są również badania nad sztucznem wytwarzaniem promieniotwórczości i w tej dziedzinie osiągnięto już poważne rezultaty. Odkryte neutrony znalazły już pierwsze zastosowanie w medycynie, a ostatnio prasa całego świata doniosła o nowych odkryciach w dziedzinie sztucznej promieniotwórczości, dokonanych przez córkę naszej znakomitej rodaczki — Irenę Joliot-Curie. Może okaże się niedługo, że w walce ze strasznym wrogiem ludzkości — rakiem, otrzymamy nową broń, nie mniej skuteczną od tej, którą dało nam wiekopomne odkrycie z przed lat czterdziestu.

Dr. K. M.

KRÓLOWA TABARIN



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

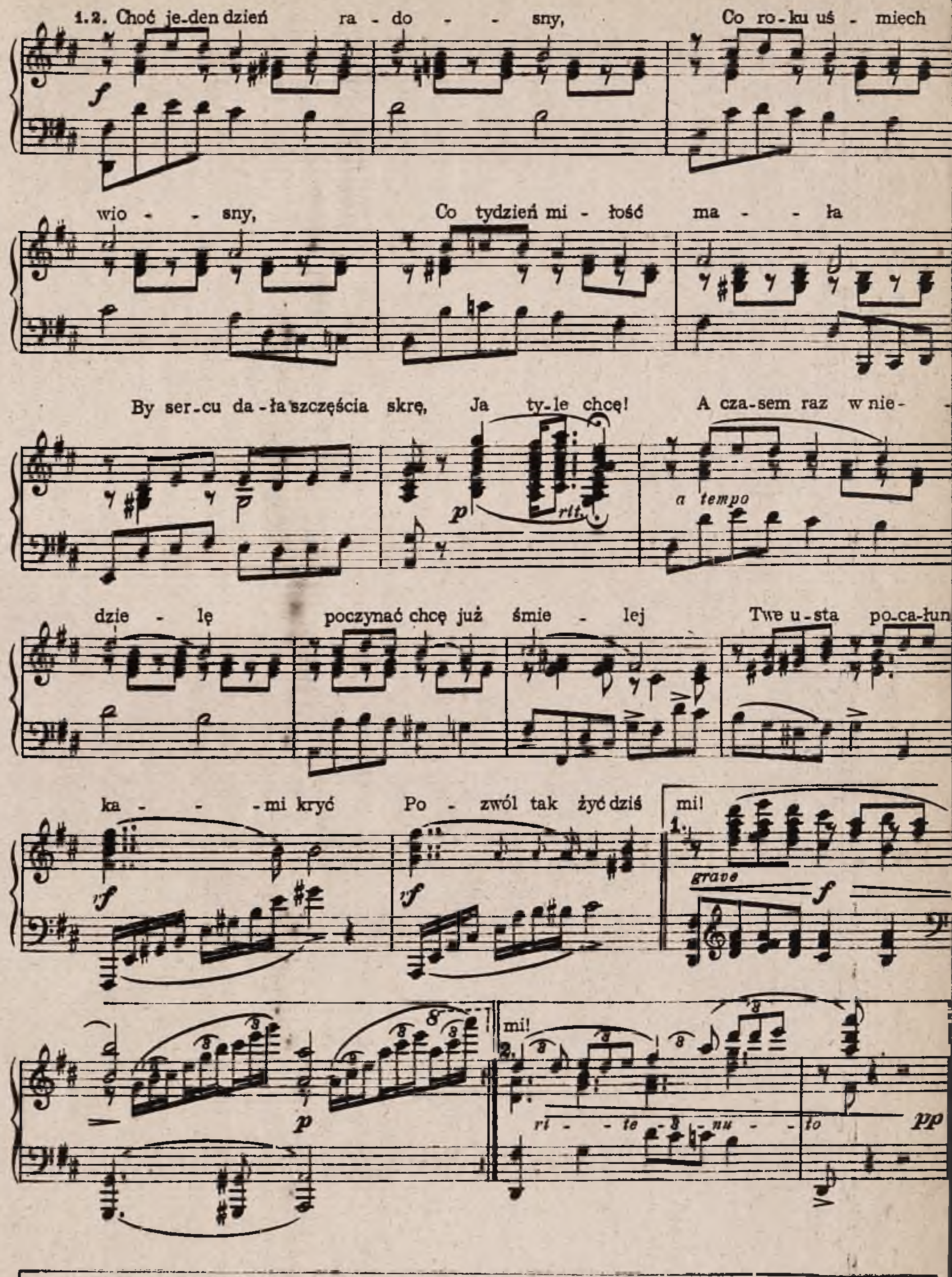
JA TYLE CHCĘ...

PIOSENKA

Słowa:
WIKTOR BUDZYŃSKI

Muzyka:
CZESŁAW HALSKI





HUMORESKA

NIE WIERZ PAJĘCZYNIE

ZDZISŁAW NIEWIADOMSKI

Modna restauracja. Orkiestra. Oblepione gośćmi stoliki. Kieliszki nieustannie wlewają w usta radość chwili. W powietrzu unoszą się tumany beztroskiego śmiechu. Występy artystów. Wschodnia tancerka, cudownie zgrabny szkielet, cienka jak tomik wierszy Lechonia — symfonja wdzięku z pod znaku Terpsychory. Po niej śpiewaczka płucze gardło na melodję tanga: „Twe usta są jak paproć". Goście nagradzają je brawami.

Przy jednym ze stolików siedzi kilku panów. Przyglądają się występom. Nagle jeden z nich robi minę, jakby sobie coś ważnego przypomniał i, zwracając się do sąsiada, mówi:

— Witold, prawda, przecież miałeś nam przy kolacji opowiedzieć, poco wczoraj pożyczyłeś ode mnie laskę. Byłeś dziwnie wzburzony, a nie chciałeś wyjawić przyczyny.

— E, głupia historja — odparł krótko Witold, — szkoda na to czasu. Popatrzmy lepiej na tę tancerkę. Zgrabna bestyjka. Co? A ta druga to zła? Gdyby jej tak jeszcze ręce poprzetrącać i kazać wejść na piedestał, wyglądałaby, jak sama Wenus z Milo.

Koledzy nie ustępowali jednak, wiedząc, że potrafi on opowiadać nie tylko zajmująco, lecz również i ciekawie.

Wreszcie zdecydował się. Oczy mu zabłysły. Przerwał na chwilę rozprawę nożową z pieczonym indykiem i wytarł serwetką ręce.

— Abyście dobrze zrozumieli tę historję, muszę zacząć od Adama i Ewy. Zaznaczam, że ta przygoda jest najdziwaczniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przeżyłem. A żyję już, chwalić Boga, czterdzieści lat bez najmniejszej przerwy.

W kilka miesięcy po moim ślubie z Haliną zacząłem dostawać od „życzliwych osób" anonimy, że żona mnie zdradza. Zdenerwowałem się. Organicznie nie znoszę „wspólników". Ponieważ pracuję jak wiecie w teatrze, wracam do domu późno i żona ma rzeczywiście do swojej dyspozycji całe wieczory, różne więc przypuszczenia poczęły mi krążyć po głowie.

W tym właśnie czasie jeden z moich dobrych, szkolnych kolegów, który pracuje w banku, wspomniał mi, że ich spółdzielnia wybudowała na własnej parceli gdzieś za Zegrzem, dwa murowane domki i nie może oczywiście znaleźć lokatorów.

Któregoś pięknego dnia pojechałem tam. Zobaczyłem dwa niewielkie, bliźniaczo do siebie podobne domki, położone wprawdzie bardzo malowniczo na skraju młodego lasu, lecz zato na zupełnem odludziu. Dwa kilometry od najbliższego osiedla ludzkiego, którem jest gajówka, zamieszkała przez kulawego gajowego. Tu możesz mnie zdradzać— pomyślałem z drwiącym uśmiechem, nie widząc nigdzie żywej duszy. Gajowy ze względu na chorą nogę nie był oczywiście zbyt groźny. Jako powód przeprowadzki podałem żonie wzgląd na jej zdrowie. O anonimach postanowiłem chwilowo nie mówić.

Nie chciała jechać. Płakała po całych nocach. Strumienie łez.

— Aha, więc jednak coś nie jest w porządku — myślałem, patrząc, jak żona wyciera chusteczką mokre od łez policzki. — Przeprowadziliśmy się jednak. Uparłem się i koniec. Tu zdrada była zupełnie wykluczona. Spokojnie jeździłem sobie do pracy. Nie bałem się żadnych niespodzianek. Niedługo trwał ten błogi stan: do sąsiedniego domku wprowadziło się również młode małżeństwo. On przez całe dni siedział w domu — widocznie musiał pracować w wolnym zawodzie. Kto to był? Nie wiem. Literat czy bezrobotny. Zresztą to nie ważne. Żona jego jeździła od czasu do czasu do Warszawy, on chyba nigdy. To mi się nie podobało, gdyż młody człowiek był dosyć przystojny.

Gdy do tego zauważyłem, że on kłania się Halinie, straciłem spokój. Począłem węszyć. Stałem się czujniejszy.

Któregoś dnia wyjeżdżając przed obiadem do Warszawy, spostrzegłem rzecz niesłychaną: moja małżonka sprzątając mieszkanie, oczyszczała kąty z pajęczyny. To było zastanawiające. Gdy do tego zauważyłem, że jego żona wsiada do autobusu z walizką jakby na kilkudniowy przynajmniej wyjazd — zrozumiałem... Jeśli Halina do tej pory nie zdążyła mnie zdradzić, stanie się to nieodwołalnie dzisiaj. Tak.

Pojechałem jednak do Warszawy, jakbym nic nie zauważył, lecz tego wieczora nie mogłem pracować. Nerwy zawiodły. Przed oczami stała mi Halina tulona przez nieznajomego sąsiada.

Zwolniłem się wcześniej i poszedłem do baru. Wódka tylko podnieciła mnie. Wtedy udałem się do ciebie po laskę. Plan mój był prosty: zaskoczyć ich, draba zatłuc, a jego serce posolone kazać zjeść Halinie. Trudno, zemsta jest rozkoszą bogów i idjotów.

Zwykle wracałem do domu o wpół do pierwszej w nocy, wczoraj byłem na miejscu już przed dziesiątą. Działo się ze mną coś niezwykłego. Wódka zaczęła działać na dobre i czułem, że gotów jestem do popełnienia największej zbrodni.

Chcąc zachować wszelkie środki ostrożności, podszedłem do budynku od strony lasu. W oknach było ciemno. Śnieg chrupał mi pod nogami. Najpierw podszedłem do okna. Nadsłuchuję... szepty. Krew mnie poniosła. Straciłem panowanie nad sobą.

Laską wybiłem szybę, wyłamałem ramę i wpadłem do pokoju jak grom. Odpowiedział mi krótki pisk przerażonej kobiety, a biała sylwetka męska pobiegła do kuchni, skąd po schodkach dostała się na strych.

Bez zbytniego pośpiechu ze względu na serce, pospieszyłem za złoczyńcą, ściskając w ręku laskę, mającą za chwilę odgrywać rolę kropidła. Myślałem, że go złapię na strychu, lecz niespodziewanie zawiodłem się. Gdy wdrapałem się na górę, on zdążył już wyłamać okno i szykował się do skoku w śnieg.

— Dokąd pan tak się spieszy? — zagadnąłem ciekawie mojego chwilowego wspólnika, który leciał głową w dół.

Nawet mi nie odpowiedział. Zszedłem więc z powrotem do pokoju. Żona już nie krzyczała. Skryła się gdzieś do szafy czy pod łóżko, dobrze nawet nie wiem, gdyż nie zapalałem światła. Nie chciałem mordować człowieka w jej oczach. Usiadłem spokojnie na krześle, czekając na jego powrót. Nie miałem wcale zamiaru gonić go. Czułem, że i tak wróci. Bosemi nogami po śniegu niedługo chyba wytrzyma. Siedzi teraz gdzieś skurczony pod jałowcem, jak zając i trzęsie się z zimna. Był przecież tylko w bieliźnie.

Żal mi się nawet chłopa zrobiło, chociaż grzech jego był ciężki. Postanowiłem nawet dać mu przed śmiercią szklankę gorącej herbaty.

Moje przewidywania istotnie nie zawiodły. Po kilku minutach głośne i coraz to bliższe kichania świadczyły, że łotr, przynaglony przez mróz, wraca na miejsce zbrodni. W chwilę potem zamigotała w przedpokoju sylwetka złoczyńcy. Zatrzymał się. Począł coś do mnie mówić, ale nie wiedziałem o co mu właściwie chodzi.

Wiecie chyba sami, jak trudno jest zrozumieć słowa, wypowiedziane przez czło-

wieka, który drży z zimna lub też ze strachu. A przecież on drżał podwójnie: ze śmiertelnego strachu i z przejmującego zimna. Łatwiej jest chyba zrozumieć bulgot kartofli, gotujących się pod pokrywą, niż słowa, które wypowiadały jego zbladłe usta.

Po kilku jednak chwilach przekonałem się, że powtarzający się bulgot oznacza: co pan chce? co pan chce? co pan chce?

To pytanie wydało mi się trochę nietaktowne. Shocking — jak mówią Anglicy.

— Zaraz to postaram się panu gruntownie wyjaśnić — odparłem z wdziękiem młodego subjekta ze sklepu galanteryjnego, waląc faceta laską z całych sił w rozsądek. I nie czekając nawet na pogrzeb — wyszedłem.

Chciałem orzeźwić się świeżem powietrzem. Zresztą — murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść.

— A żonie nic nie zrobiłeś? — zapytał go jeden z kolegów z nietajonym żalem.

— Na szczęście nic, gdyż, wyobraźcie sobie, okazało się, że to nie była wcale moja żona tylko jego.

— E, nie błaguj. Przecież niemożliwe, aby on znalazł się w twojem mieszkaniu ze swoją połowicą. Niedługo powiesz, że, będąc w Azji, zabiłeś spodniami tygrysa i też każesz nam w to uwierzyć.

— Poczekajcie, moi drodzy. Widzicie, okazało się, że to mieszkanie również nie było moje. W nocy każdy kot jest czarny. Zresztą muszę na swoje usprawiedliwienie dodać, że pozostawałem pod wpływem alkoholu oraz, że chcąc ich łatwiej zaskoczyć, szedłem nie jak zwykle od drogi, lecz od strony lasu. I przez to całe nieszczęście...

Ale, czekajcie, nie koniec na tem. Wracam pospiesznie do domu, a żona trzęsie się ze strachu i mówi do mnie również takim kartoflanym bulgotem, że pukał tu przed chwilą do okna jakiś warjat, na biało ubrany, lecz nie mogła zrozumieć co on chce, gdyż wydawał dźwięki jak niemowa.

Miał szczęście, że go Halina nie wpuściła. Przecież, gdybym go znalazł w sypialni żony, to nimby się sytuacja wyjaśniła, on początby już wieść życie pozagrobowe, a ja zostałbym wdowcem.

Uspokoiwszy żonę, położyłem się do łóżka. O zaśnięciu nie mogłem nawet marzyć. Przykro mi było, że uczciwego człowieka w jego mieszkaniu bez żadnej przyczyny pobiłem i na śnieg wyganiałem. Prócz tego bałem się nieco.

Próżno starałem dać sobie odpowiedź na dręczące pytanie: poznał mnie czy nie poznał? Co prawda światła nie zapalałem. — Przeżywałem przykre chwile niepokoju. Mogłoby to mieć dla mnie niemiłe następstwa: policja, sąd, prasa.

Nagle ktoś zapukał do okna. Żona poczęła krzyczeć. Okazało się, że to byli nasi nieszczęśliwi sąsiedzi, którzy prosili nas, ba, nieledwie błagali o pozwolenie spędzenia tych kilku godzin do ranka w naszym domu, ponieważ „ktoś“ na nich napadł.

To „ktoś“ wlało mi otuchę do serca. Więc to ktoś na nich napadł, więc jakiś nieznany osobnik! Skakałbym w tej chwili z radości jak kangur po zjedzeniu materaca sprężynowego. Miałem jednak tyle jeszcze przytomności, że wyjąłem szybkim ruchem sztuczną szczękę, przez co głos mój nabrał zupełnie innego brzmienia. Więc i po głosie mnie nie poznają. Pewny swej bezkarności gościnnie przyjąłem wylęknione ofiary tajemniczego opryszka i z zaciekawieniem słuchałem budzącego grozę opowiadania o zuchwałym bandycie, przed którym szukają schronienia u mnie.

Trudno mi jednakże było powstrzymać śmiech, patrząc na głowę sympatycznego sąsiada, która pod wpływem wiadomej już podniety zewnętrznej, nabrała kształtów dojrzałego, wyrośniętego arbuza. Głupią miał przytem minę.

Następnego dnia wyprowadzili się z wielkim pośpiechem do Warszawy. Policji za moją poradą postanowili nie zawiadamiać.

Niestety, przynaglony przez przerażoną tym napadem Halinę musiałem i ja zmienić miejsce zamieszkania. Znowu przenieśliśmy się do stolicy.

Dokończenie ze str. 16-ej.

— Jakto najlepsze? Pod jakim względem? Zapewne myśli pan o udaniu się naszej akcji?

— Nie tyle naszej, co mojej — sprostował Charcicki, bawiąc się pewnem zdziwieniem swego klienta.

— A kiedyż przypuszcza pan można będzie ostateczne zdobyć dowody, potrzebne nam do sprawy? — pytał dalej.

— O zapewne już niezadługo... Może za kilka dni! — brzmiała pewna siebie odpowiedź.

Na pożegnanie Warciński prosił Charcickiego, aby mu co kilka dni zdawał sprawę z postępów, jakie czynił w „akcji“, jak nazywał zadanie swego zaufanego.

I rzeczywiście postępy były duże i prowadziły siedmiomilowemi krokami do zwycięstwa... Charcickiego. Przekonał się, że jego ukochana, gdyż tak nazywał ją w myśli i bynajmniej nie wzdrygał przed imieniem, którego żadnej jeszcze nie dał kobiecie, była osobą nietylko piękną, miłą i niezwykle sympatyczną w codziennem pożyciu, ale dobrą i inteligentną. Nieraz siedząc u niej na herbacie — mieszkanie Warcińskiego nie było jeszcze gotowe — zapytywał się jak życie posiada utajony sens i jaką celowość, skoro dziwny przypadek, poprostu figiel, który w głowie jego powstał w pewnej chwili, sprowadził w jego egzystencji tak zasadnicze zmiany i coby było, gdyby owego wieczoru nie był zauważył chłopca hotelowego z tablicą, wzywającą do telefonu? A przecież było to tak niedawno temu! Zaledwie dziesięć dni!

Również sytuacja z rozwodem wyjaśniła się wkońcu. Charcicki wspomniał, że słyszał od znajomych, jakoby jej mąż zamierzał się z nią rozwieść.

— Wiem o tem oddawna, wiem też, że kazał mnie komuś szpiegować, aby zdobyć dowody zdrady! Niestety, nie uda mu się to! Żadnych dowodów być nie może, bo nie mam sobie nic do wyrzucenia.

— A może ja będę tym, który da mu atuty w rękę? — zapytał Charcicki.

— Chyba, że pan! Ale o to nie obawiam się. Nie chciałam mu dać rozwodu, nie chciałam, abym była stroną winną, gdyż przekonałam się, że to człowiek bez serca, wyrachowany i chce mnie tylko skrzywdzić, planując inne, lepsze wedle niego małżeństwo. Ale teraz jest mi wszystko jedno! Zgodzę się na wszystko i nawet pierwsza z tem wystąpię.

— Chce pani się rozwieść z mężem dla mnie? — Charcicki wstrzymał oddech, gdyż pytanie to miało być ukoronowaniem jego wysiłków w podwójnej roli wykonawcy woli Warcińskiego i zakochanego w Inie.

— Tak, chcę się rozwieść, aby wyjść zamąż za pana! Może pan być zadowolony! Oświadczyłam mu się nieomal! — Ale jestem kobietą współczesną, która robi, co uważa za stosowne i odpowiada za swe czyny.

Charcicki widział, że nadeszła wkońcu właściwa chwila, aby wyznać Inie i wszystko opowiedzieć. Był dosyć pewny jej miłości i wiedział, że go zrozumie i nie będzie mu brała za złe żartu, który zaprowadził go aż tak daleko.

Następnego dnia Charcicki zjawił się w mieszkaniu Warcińskiego.

Lokaj wprowadził go jak ostatnim razem do saloniku, tylko zmienionego wskutek remontu mieszkania. Charcicki usiadł na jedynem krześle, które było w pokoju i obmyślał słowa, które miał powiedzieć Warcińskiemu.

Niski człowieczek ukazał się wkrótce w drzwiach.

— No, jakież wiadomości pan mi przynosi? — pytał, uśmiechając się. — Sądząc po pańskiej minie, dobre!

— Nie może być lepiej! — odparł zadowolony Charcicki. Pańska żona zgadza się nietylko wziąć winę na siebie, ale sama rozpocznie kroki rozwodowe!

— Sama? Dlaczego? Skąd pan to wie?

— Od niej samej. — Charcicki bawił się zdziwioną i nieomal oburzoną miną swego interlokutora.

— Jakżeż to się stało? Czy zamierza za kogoś wyjść zamąż? — pytał dalej Warciński.

— Pani Ina wychodzi zamąż za mnie! — rzucił na ostatek Charcicki, by do reszty wyprowadzić Warcińskiego z kontenansu.

— Za pana? Ależ drogi panie, ja tego nie żądałem! Pan się poświęca, nie mogę tego przyjąć!

— Nie, proszę pana, nie ja się poświęcam, a pani Ina poświęca pana i pańskie pieniądze dla mnie. Zakochaliśmy się w sobie i mogłem co do joty wypełnić pańskie polecenia! A tymczasem żegnam! — Ukłonił się i wyszedł bez podania ręki niesympatycznemu mężowi Iny.

Gdy w kilka dni później Warciński opowiedział całą sprawę swemu adwokatowi, ten zdziwił się niezmiernie, gdyż jak oświadczył, polecony przez niego młody człowiek dostał grypy i od kilku tygodni nie wychodził wogóle z domu.

Dokończenie ze str. 17-ej.

nione epoki, pełne dziwacznych form. Takiem najbardziej może dziwacznem zwierzęciem, zwracającem na siebie uwagę swą niezwykłą budową, jest mała australska jaszczurka, należąca do rodziny agam. To t. zw. moloch kolczasty (Moloch horridus), który nazwę swą zawdzięcza potężnym kolcom, jakimi pokryte jest całe ciało tego zwierzęcia. Na wierzchu głowy, tułowia, ogona i nóg znajdują się kolce różnej wielkości, rozmaicie powyginane. Największe, znajdujące się po obu stronach głowy, przypominają rogi. Niewielka ta jaszczurka, bo zaledwie kilkunastocentymetrowej długości, zamieszkująca piaszczyste okolice połudn. i zach. Australji, jest zwierzęciem słabem i niewinnem i właśnie w groźnych odstraszających kolcach znajduje obronę przed napastnikami. Żywi się wyłącznie niemal mrówkami i może oddać nawet duże usługi kolonistom, dla których najazd mrówek w większej ilości stanowi prawdziwą, trudną do zwalczenia plagę. Łagodne z usposobienia molochy mimo groźnych kolców, które nawet nadały im nazwę „djabłów kolczastych“, dają się łatwo oswajać i nieraz trzymane są po osadach Australji. A potrafją zjadać olbrzymie ilości mrówek, jak podaje jeden z przyrodników, który zajmował się ich życiem. Zaniesiony na brzeg mrowiska moloch zdołał za jednem posiedzeniem skonsumować 1000 do 1500 sztuk mrówek, czyniąc to przy pomocy błyskawicznie wysuwającego się języka.

Gdy tak patrzymy na te drobne jaszczurki, przypominające swym niecodziennym wyglądem krewniaków kopalnych z przed miljonów lat, mimowoli nasuwa się pytanie: Jak wyglądać będzie świat w przyszłości? — jakim będzie świat zwierząt naszego globu — powiedzmy — za 100 miljonów lat?

M.



Wzmocnienie warg karminem jest ważnym szczegółem maquillage'u pięknej pani.

3 spojrzenia w lustro

Każda artystka, przed wejściem na scenę czy przed jupitery filmowe, kontroluje w ostatniej chwili charakteryzację twarzy, patrząc krytycznie w lustro, odbijające jej postać. Tych kilka spojrzeń decyduje o jej usposobieniu w chwili rozpoczęcia gry. Jeżeli „konsultacja" wypadnie korzystnie, odbije się to zaraz na dobrem samopoczuciu. Artystka wychodzi na scenę pewna swego uroku i z miejsca sugeruje widownię ujmującym wyglądem.

Te same uczucia opanowują każdą z nas przed występem na szerszej arenie życia towarzyskiego. Czyż samo życie nie jest sceną, na której odgrywać musimy role, dobre i złe, ważne i błahe, miłe lub przykre?

To też stojąc przed drzwiami, wiodącemi do wytwornego salonu, loży teatralnej, eleganckiej kawiarni, restauracji czy sali balowej, nie zapominajmy o spojrzeniu w taflę lustrzaną, której wyrok winien nas jak najlepiej usposobić, dodać potrzebnej pewności siebie i podnieść o 100% dobre samopoczucie.

Poświęćmy tej sprawie nieco uwagi, aby niczego nie zaniedbywać, co jeszcze w ostatniej chwili może poprawić jakieś niedociągnięcia, wycyzelować staranniej rysunek ust czy brwi lub owalu twarzy.

Wyobraźmy sobie scenerję tego obrazu, który ma utkwić nam w pamięci, ilekroć przyjdzie nam grać rolę kobiety z prawdziwie eleganckiego świata. Już w domu poczyniłyśmy wszelkie przygotowania. Suknia dostosowana do okoliczności, nóżki w ładnych pantofelkach, najmodniejsza fryzura, makijaż i manicure bez zarzutu. Na ramionach zarzutka futrzana, koronkowy szal zrobi głowę... Spoglądamy w lustro.

Co ono powie?

Jeśli jesteśmy zadowolone z obrazu ujrzanego w tafli szklanej, to zaraz rozchylą się usta uśmiechem, rozbłysną oczy radością życia a krew zagra żywszym płomieniem na skroniach... choć nikt jeszcze nie szepnął miłych słówek do uszka.

Wnętrze miniaturowej torebki zawiera niewinne akcesorja kokieterji: karmin, róż i puder. Delikatne muśnięcie wystarczy, aby podkreślić blask urody. Ale też o zabraniu ze sobą tych kosmetyków i użyciu ich w odpowiedniej chwili, nie wolno zapomnieć. Torebka przesiąknięta jest ulubionemi perfumami: wydobywamy je by dyskretnym ruchem przesunąć koreczek za uszami i brzegiem wycięcia dekoltu...

Jeszcze jedno spojrzenie w lustro. Zpod zmrużonych powiek patrzą bystre i krytyczne oczy.

Wszystko w porządku!

— — — — — —

Aby faktyczny stan rzeczy odpowiadał temu, co przeczytały Panie powyżej, należy się do wieczornego występu towarzyskiego

Dokończenie na str. 31-ej.





Powyżej: Odświeżenie różu na policzkach dodaje krasy kobiecej twarzy.

Na prawo: Odpowiednim pudrem wyrównujemy owal twarzy.

10 minut
PORANNEJ GIMNASTYKI

Zajmiemy się dzisiaj wyłącznie gimnastyką mięśni nóg. Może ktoś zauważy, że nogi najmniej wymagają ćwiczeń gimnastycznych, bo są cały dzień w ruchu. Czy chodzimy, czy też siedzimy lub wkońcu stoimy, wykonujemy ciągle inne ruchy mięśniami nóg, więc może wystarczyłyby one zamiast specjalnych ćwiczeń, które zabierają 10 minut drogiego czasu.

Ale właśnie dlatego, że wykonujemy nogami zawsze tylko jedne i te same ruchy, trzeba dać im sposobność do uruchomienia tych mięśni, które zwykle nie biorą wcale udziału. Odpowiednie trenowanie zapewni dopiero tę idealną równowagę rozwoju naszych sił fizycznych, do której zdążamy przez codzienną gimnastykę.

Prócz wykonywania ćwiczeń, które opisujemy poniżej, trzeba zauważyć czy nogi są dość elastyczne, zwinne i eleganckie w ruchach? Czy się nie męczą przy dłuższem chodzeniu lub w tańcu? Czy utrzymują właściwą postawę, zapewniającą nam trzymanie się tak, aby ciężar ciała spoczywał na nich w właściwym punkcie, dającym bezwzględne poczucie równowagi? Czy trzymamy pięty i kolana przy sobie w czasie chodzenia? Czy biodra pozostają w spokoju, czy też nieestetycznie się kołyszą?

Odpowiedź na te wszystkie pytania wzbudzi zapewne niepokój u naszych Czytelniczek, ale o to właśnie chodzi, aby dojść do zdrowego samokrytycyzmu, który dopomaga w poprawianiu wielu niewłaściwości fizycznych. Gdy dodamy, że gimnastyka nóg działa bardzo korzystnie na ich smukłą linję i wyszczuplenie kostki, będziemy już mieli napewno wszystkie Czytelniczki za sobą.

Prócz gimnastyki nie zapominajmy w ciągu dnia wykorzystać każdą spokojną chwilę przy pracy siedzącej, aby ruszać palcami nóg, więzionych w trzewikach, wznosić do góry pięty, przy oparciu stopy na palcach. W tej pozycji można wykonywać piętą ruchy koliste w jedną i drugą stronę, co znakomicie rozgrzewa nogę, a więc pobudza krew do szybszego krążenia.

Ćwiczenia gimnastyczne nóg wykonujemy r a n o, kiedy nogi są całkiem wypoczęte, lub w i e c z o r e m. W tym drugim wypadku należy przed rozpoczęciem ćwiczeń położyć się na plecach, podnieść obie nogi pionowo w górę i wstrząsać niemi przez chwilę przy pomocy drobniutkich ruchów wibracyjnych, co sprowadzi odpływ krwi z naczyń krwionośnych w nogach, bardzo korzystny po przepracowanym i „przechodzonym" dniu.

Ćwiczenie 1. Leżąc na plecach, unieść nieco nogę w kolanie i zataczać stopą koła najpierw w prawą, potem w lewą stronę, ruchem wskazówki na zegarze. Opanowawszy dokładnie ruchy obu nóg, ćwiczy się obydwie stopy wspólnie, raz obie w prawą stronę, drugi raz w lewą stronę, a potem ruchem zbieżnym ku sobie i rozbieżnym od siebie. Jedno ćwiczenie powtarzamy 20 razy.

Ćwiczenie 2. Leżąc na wznak, wyciągamy nogi, ustawiamy stopy pod kątem prostym do nóg. W tej pozycji zginamy silnie palce, jak gdyby chcąc nimi coś uchwycić. Następnie wyciągamy stopy jak najsilniej przed siebie, aby stanowiły jedną linję prostą z całą nogą i wyprostowując palce, forsownie je wyciągamy, jak gdybyśmy chciały, aby były możliwie najdłuższe. Powtórzyć 15 razy.

Ćwiczenie 3. Stanąć w rozkroku, wyprężyć nogi i usztywnić w kolanach. Z tej pozycji wznosić się energicznie na palce i opadać na pięty. Wykonać to 30 razy.

Ćwiczenie 4. Marsz naokoło pokoju, stawiając stopy najpierw na pięcie, potem dokładnie przykładając je do podłogi z przeniesieniem ciężaru ciała na palce. Przećwiczywszy to w powolnem tempie, wykonujmy marsz inny, szybciej stawiając najpierw palce i prawie nie dotykając piętą podłogi.

Ćwiczenie 5. Marsz na zewnętrznych kantach stóp, które wyginamy od środka na zewnątrz.

Ćwiczenie 6. Siadamy na ziemi ze zgiętemi kolanami i piętami jak najbliżej podciągniętemi ku udom. W tej pozycji zaczynamy posuwać stopy naprzód, opierając mocno palce o podłogę i dosuwając do nich piętę przez wznoszenie jak najwyżej sklepienia stopy na podbiciu. Czynimy to, naśladując ruch gąsienicy, gdy posuwa się naprzód. Powracać w tył, opierając mocno o podłogę pięty i dosuwając do nich palce.

Ćwiczenie 7. W pozycji leżącej na wznak podnieść do pionu nogę ze stopą zgiętą pod kątem prostym. Opuszczać ją, wyprostowując stopę. Powtórzyć po 10 razy każdą nogą, a po dojściu do wprawy wykonywać to ćwiczenie obydwiema nogami naraz.

Ćwiczenie 8. Wykonujemy przysiad z wzniesieniem rąk przed siebie do poziomu. Plecy pozostają silnie wyprostowane. W tej pozycji unosimy biodra do góry i opuszczamy je 10 razy, jakby przygotowując się do skoku. Nakoniec wykonujemy 3 skoki naprzód, jak żaby i dla wypoczynku kładziemy się na wznak, przyciągając nogi, które dla lepszego odprężenia należy dobrze wyklepać dłońmi.

Ćwiczenie 9. Z pozycji przysiadu, z dłońmi wspartemi o podłogę i lekkiem pochyleniem wprzód, wyciągamy nogę tak, że pięta dotyka ziemi. Następnie unosimy ją w górę, całkiem wyprostowaną, starając się przy tym podrzucie nogi postępować tak, jakgdyby ona była na sprężynach. Po 2—3 krotnem wzniesieniu nogi w górę, wracamy do zasadniczej pozycji i wyciągamy drugą nogę do takiego samego ćwiczenia. W miarę dochodzenia do wprawy, ilość podrzutów każdej nogi w górę odpowiednio się powiększa. Dla odpoczynku staje się prosto i potrząsa każdą nogą dla ich odprężenia. *Dokończenie na str. 31-ej.*

Ilustracje uwidaczniają nam zasadnicze ruchy nóg w poszczególnych ćwiczeniach (od 1 do 7).







Na lewo: Wykonując przysiad, wyciągamy ręce poziomo przed siebie... (Ćwiczenie 8).

Na prawo: Opierając dłonie o podłogę, wyrzucamy nogę wprzód... (Ćwiczenie 9).

Suknia NA DRUTACH

✶

Bardzo modne komplety i sukienki sportowe, wykonywane na drutach, odznaczają się prostym krojem i łatwą techniką pracy. Mimo to trud ich wykonania jest dość duży, gdy się zważy, ile czasu potrzeba na całą sukienkę, warto jednak pokusić się o taką nowość. Dajemy naszym Czytelniczkom wzór i opis bardzo modnej sukienki w technice drutowej.

Przed przystąpieniem do pracy należy przećwiczyć próbkę wzoru, który ma być robiony w następujący sposób: 1 oczko wprost, 1 oczko nawywrót. Drugi rząd wykonujemy w ten sam sposób, ale na oczko gładkie przypada oczko nawywrót i odwrotnie na oczko nawywrót — oczko wprost.

Przód i plecy odrabia się wedle kroju, który w naturalnych wymiarach trzeba sobie przygotować według podanego przez nas rysunku. Rękawy rozpoczynamy od mankietów, które stanowią pas 6-centimetrowy, zrobiony odmiennie: 2 oczka wprost, 2 nawywrót.

Kieszenie przygotowuje się również osobno.

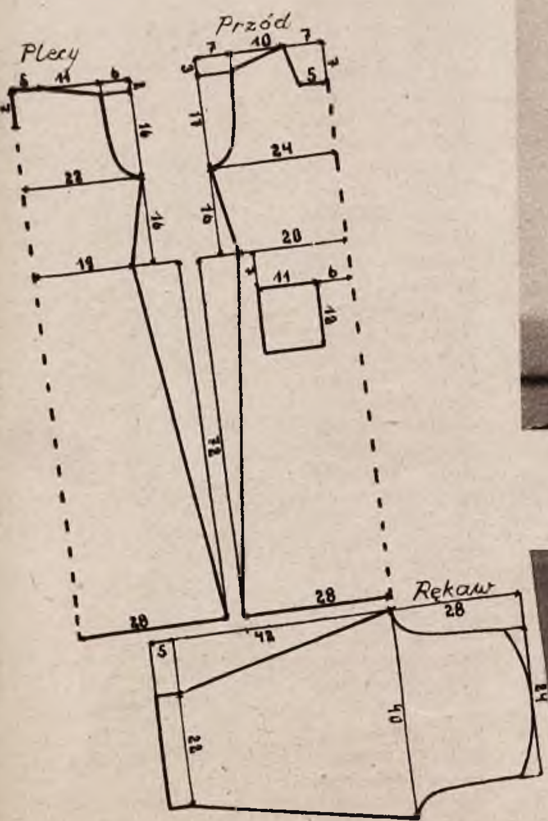
Całość zeszywa się niewidocznym ściegiem, łącząc płasko ze sobą wszystkie części sukienki. Dekolt, kieszenie i dół sukienki wyszywamy ściegiem przed igłą ciemniejszym tonem włóczki, jak to widzimy na wzorze.

Na suknię dla osoby o średniej tuszy liczy się 140 oczek na rozpoczęcie przodu, 130 oczek na rozpoczęcie pleców i 44 oczek na rozpoczęcie rękawów.

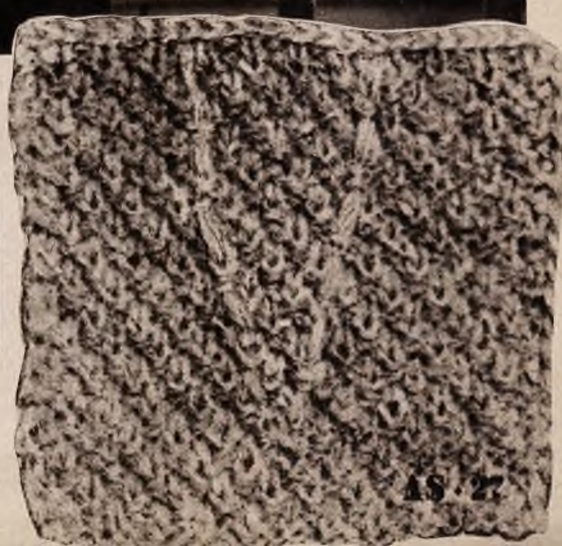
Mewa.



Skromna i gustowna sukienka wykonana na drutach.



Na lewo: Schemat kroju sukienki.



Na prawo: Próbka wzoru.

Idziemy na raut...





Dostałam raz zaproszenie, wydrukowane na pięknym czerpanym papierze, konwokujące mnie do znajomych na „raut" o godzinie 9 wieczór, dnia...

Przeczytawszy je, najprzód ucieszyłam się szczerze że ci państwo odziedziczyli zapewne po jakimś bogatym wuju spory majątek, pozwalający im na zmianę dotychczas bardzo skromnego trybu życia, na utrzymywanie odpowiedniego apartamentu i wydawanie eleganckich przyjęć. Lecz w chwilę potem zafrasowałam się nieco, gdyż moja wieczorowa tualeta z zeszłego sezonu nie była już wcale „na poziomie". Ha, trudno, trzeba sprawić nową. Tak teraz mało ludzie przyjmują prywatnie, że szkoda stracić miłej okazji dla braku odpowiedniej sukni. Przez kilka dni zajęta byłam wybieraniem materjału, fasonu, przymiarkami, kupowaniem dodatków, wkońcu — po wizycie w „Institut de Beauté" i dwugodzinnym seansie u mego fryzjera, byłam gotowa na określoną godzinę.



Nie zapomnę tego wieczoru! W nowoczesnem (czytaj ciasnem) dwupokojowem mieszkaniu zastałam kilkanaście osób, tłoczących się na dwóch tapczanach i trzech reprezentacyjnych fotelach. Panowie, szczególnie młodsi, zmuszeni byli do pozycji stojącej, a pod koniec wieczoru zrezygnowawszy z wszelkich fasonów, porozsiadali się w braku miejsca na dywanie. Państwo domu, zaaferowani i pełni emocji, przepychali się wśród zaproszonych, roznosząc z pomocą „pomocnicy domowej" kanapki, sałatki, torty itp. Wylano przytem jednej z pań sos majonezowy za dekolt, stłuczono kilka kieliszków i upuszczono na jasny dywan kanapkę z kawiorem, z której „pozbieraniem" było sporo kłopotu, jako że kawior był drobnoziarnisty, a zato odpowiednio lepki i nie chciał rozstać się z dywanem. Koło 2 ej, zdołałam umknąć po angielsku, zmęczona niewygodnem siedzeniem na wałku od tapczanu, z wymiętą suknią i poplamionem sortie ze srebrnych lisów, które zmuszona byłam zaraz na wstępie zdjąć z powodu tropikalnej temperatury (kilkanaście osób na 50 metrach kwadratowych plus kaloryfery!).

Biedni państwo domu! Uniesieni gościnnością i jaknajlepszemi chęciami, zapomnieli, że powinno dostosowywać się swe towarzyskie aspiracje do warunków, w jakich się żyje i że urządzanie „rautu" w małem mieszkanku jest pomysłem pretensjonalnym i niewczesnym.

Wiele ludzi nie zdaje sobie dokładnie sprawy, co to jest właściwie raut i jak powinien być urządzony. Nazwa ta, pochodząca z angielskiego „rout" oznacza większe wieczorne zebranie towarzyskie, urządzone w pewnym określonym celu, z jakiejś specjalnej okazji lub dla pewnej osoby. Jest to zebranie równie „grand gala" jak bal, tylko bez tańców i trwające zazwyczaj krócej. Stroje jednak powinny być zupełnie wieczorowe, t. zn. dla panów fraki (broń Boże smokingi!), dla pań zaś wieczorowe tualety, równie strojne jak balowe, lecz o charakterze nieco poważniejszym i — że się tak wyrażę — mniej „powiewnym" niż suknie przeznaczone specjalnie do tańca. Tualecie takiej (najlepiej czarnej lub ciemnej, np. koloru wina, fiołkowej, ciemno-zielonej lub „bleu de nuit") towarzyszy okrycie z futra, aksamitu, lamy lub tiulu, przysłaniające nieco dekolt i ramiona. Dobór tualety musi być zresztą pozostawiony wyczuciu każdej z pań i powinien być zastosowany do okoliczności.

Z jakiej okazji wydaje się rauty? Pominiemy w tym artykule rauty czysto oficjalne, np. rauty dyplomatyczne, zajmiemy się zaś tylko rautami, urządzanymi przez prywatne osoby w prywatnych domach. A więc raut można urządzić z okazji imienin pani lub pana domu, z okazji przyjazdu jakiegoś „dostojnego" gościa, z okazji zaręczyn córki, lub wreszcie dla jakiegoś znanego muzyka, śpiewaka lub innego artysty, i wtedy zasadnicze miejsce w programie rautu zajmuje część muzyczna, względnie literacka.

Co podaje się na raucie? O zasiadaniu do obiadu niema mowy; zastępuje się go zimnym bufetem, o specjalnie dobranym składzie potraw. — Na eleganckich rautach nie powinno się podawać wódki, jedynie wino, koniak i likiery, pozatem herbatę i czarną kawę, kanapki, zimne przekąski, ryby w auszpiku lub majonezie, sałatki, drób pieczony na zimno, pasztety, torty, słodycze i owoce. Trzeba przytem pamiętać, że istnieje cały szereg bardzo dobrych rzeczy, których jednak



Na prawo: Suknia wieczorowa z aksamitu „transparent".
RYS. EWA LEO.

światowy kodeks towarzyski nie dopuszcza na większe przyjęcia, np. nie podaje się kiełbasy, kiszonych ogórków itp. Wielu czytelnikom wyda się może śmieszne, że o tem wspominam, lecz z doświadczenia wiem, jak wielka w pewnych kołach panuje u nas pod tym względem ignorancja i sama już widziałam na rautach podawaną zimną pieczeń cielęcą z ogórkami, oraz „studzininę" do wódki — i to bynajmniej nie w suterenach, ani u ludzi, którzy mają prawo tych rzeczy nie wiedzieć!

Na zakończenie tych rozważań wspomnijmy o tem, że niema nic gorszego, jeżeli chodzi o imprezy towarzyskie, jak brak sharmonizowania wszystkich momentów przyjęcia. Przedewszystkiem musimy się więc starać, aby nazwa odpowiadała ramom, w jakich przyjęcie się odbywa. Niedociągnięcia i omyłki w tym kierunku działają na ludzi świadomych form towarzyskich niezwykle śmiesznie.

Lady Like.





Powyżej: Suknia z matowego jedwabiu i długi cape z breitschwanzów, spięty pod szyją ozdobnymi łańcuchami. FOT. C. ANDERS — PARYŻ

Na lewo: Odpowiednia na raut tualeta z czarnej mory. RYS. EWA LEO.



Na raucie, który nie uznaje tańców, króluje konwersacja

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

Zupa pieczarkowa. 5 dkg pieczarek wymytych w kilku wodach, lecz nie obciąganych z wierzchnej skórki, gotuje się w całości, poczem wyjmuje się je na deskę i kraje drobno. Pozostały smak podprawia się zasmażką z łyżki świeżego masła i łyżki mąki. Zasmażka nie śmie się zrumienić, lecz pozostać białą i po zalaniu jej paru łyżkami mleka, zagotowuje się ją, mieszając, poczem dolewa się smak z pod grzybków, dodając posiekane pieczarki. Skontrolowaną co do soli zupę, zagotowuje się i podaje z smażonym grzybkiem pokrajanym w drobną kostkę.

Kalafior w sosie. Większy kalafior lub kilka drobniejszych gotuje się w lekko osolonej wodzie z dodatkiem kostki cukru i łyżki mleka. Po wygotowaniu wyjmuje się kalafior i rozbiera go na części. Sos sporządza się z zasmażki z łyżki masla i mąki, która się zalewa wystudzonym makiem z pod kalafiora. Gotujący sos wylewa się na żółtko roztarte z łyżką tartego parmezanu, dodaje ugotowany kalafior, łyżkę zielonego groszku, oraz troszkę uduszonych pieczarek, podgrzewa, lecz nie gotuje więcej i wydaje w rancie z ryżu lub cienkiego makaronu. Dodatek groszku i pieczarek nie jest do tej potrawy konieczny, gdyż i bez tych dodatków jest doskonała. Dla amatorów możnaby ją posypać siekaną zieloną pietruszką.

Salsefia ukazująca się obecnie w dużych ilościach na targu, uważana jest przez niektórych konsumentów za smaczniejszą od szparagów, kłopotliwem jest jedynie czyszczenie korzonków, które nieodpowiednio potraktowane czernieją i chociaż smaku nie tracą, wyglądają wtedy niemożliwie do podania. Należy więc obejść się z niemi odpowiednio, a na pewne pozostaną białe i apetyczne. Przed zabraniem się do czyszczenia jarzyny, trzeba przygotować sobie wodę zmieszaną z łyżką mleka i octu oraz rozkłucić w niej łyżkę mąki. Do tej mieszaniny wrzuca się zakwaszonej sokiem cytrynowym wody, i postępuje w czystej wodzie daje się je do gotującej, lekko osolonej i zakwaszonej sokiem cytrynowym, wody, i postępuje z niemi dalej, jak z szparagami. Różne są jeszcze sposoby przyrządzenia tej smacznej jarzyny, którą przez całą zimę targi nasze dostarczają. To co powyżej podano, jest zasadniczem przygotowaniem salsefji przed ostatecznem zaprawieniem jej w różnoraki sposób. Jednym z nich jest maczanie ugotowanego i obsuszonego serwetką korzonka w lanem cieście i smażenie na oliwie lub mieszanym tłuszczu. Doskonałe są również podane z sosem holenderskim na gorąco, lub jako sałatka w sosie majonezowym. Także jako dodatek do mięsa np. do zrazików cielęcych w sosie pomidorowym, pokrajana drobno i zmięszana z mięsem, smakuje amatorom.

Wędzone półgąski. Z dużej gęsi odcina się mostki, t. j. piersi i oczyszcza je z kości, nie naruszając skóry. Nasolone i natarte saletrą i kardamonem, układa się kawałki mięsa skórą na dół w misce kamiennej lub porcelanowej, ciasno jedno na drugich, przykrywa i dobrze obciąża. Tak pozostać mają przez 8—10 dni w chłodnem miejscu. Codziennie należy je przekładać, odwracać i nanowo obciążać, ażeby o ile to możliwe wszystkie kawałki były oblane wytwarzającym się sokiem. Wyjęte z soli, zaszywa się mięso w płótno, owiązuje szpagatem i wędzi (najlepiej w wędzarni) przez kilka dni. Uwędzone mostki myje się i obsusza, następnie zawija w tęgie ciasto, zagniecione z żytniej mąki z wodą, i piecze w gorącym piecyku przez $1^1/_2$ godziny. Ostudzone wyjmuje się z ciasta i podaje krajane w plastry. Gotowane w wodzie jak inne mięso wędzone podać można na gorąco z purée grochowem i t. p. Jest to pomorski niezrównany przysmak, który u nas w niektórych tylko lepszych handlach otrzymać można. W stanie surowym przechować się daje przez czas dłuższy bez obawy zepsucia.

Mikołajki piernikowe. 1 kg miodu zagotowuje się, następnie przestudza i dodaje: $1^1/_2$ kg mąki żytniej, łyżkę miałko stłuczonych korzeni, t. j. cynamonu, goździków, parę ziarn białego pieprzu, imbieru i t. p. Pozatem dodaje się 8 gr amonium, które należy wymieszać i przesiać wraz z mąką, oraz 2 całe jaja. Ciasto wygniata się dobrze i odstawia złożone w kamiennym garnku dobrze przykryte na parę dni. W dniu użycia, przegniata się ciasto powtórnie, wałkuje na grubość małego palca i wycina z pomocą szablonów figurki, smaruje je białkiem, układa na wąskiej natartej blasze i piecze w miernie ogrzanym piecu. Po upieczeniu pendzluje się je syropem cukrowym lub ozdabia kolorowym lukrem i przesusza w letnim piecu.

Kminkówka. Do 1 litra czystego spirytusu wsypuje się 2 dkg przetłuczonego w moździerzu kminku i 15 dkg cukru lodowatego, poczem odstawia się w spokojne miejsce na 10 dni. 25 dkg cukru i 3 szklanki wody gotuje się przez 10 minut, ostudza zupełnie i miesza z nalewką, przecedzoną przez muszlin. Po zmieszaniu należy wódkę przefiltrować. o ile wypadnie mętna. **Sc. Ko.**

NOWOŚCI

GOSPODARSTWA DOMOWEGO.



Płókanie kaszy i ryżu przyczynia gospodyni zwykle dosyć dużo kłopotu, bo drobne ziarenka łatwo wraz z wodą wypływają z naczynia. Przyrząd, który widzimy na naszej ilustracji, ułatwia nam płókanie kaszy i ryżu: składa się on z dwóch szczelnie zamykanych durszlaków, tworzących rodzaj kuli. — Przez dużą ilość otworów przedostaje się woda z łatwością, natomiast sama kasza i ryż pozostają w kuli. Płókanie ryżu wykonujemy w misce napełnionej wodą, potrząsając silnie przyrządem, napełnionym ryżem lub grubszą kaszą.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 50 — **Grudzień** — 31 dni



NIEDZIELA **4** Barbary	Zupa pieczarkowa. Przystawka rybna na muszelkach. Gęś pieczona z sałatą z czerwonej kapusty i fasolki. Budyń czekoladowy. Kolacja: Zimna gąska z obiadu
PONIEDZ. **5** Saby, Kryspiny	Barszcz z uszkami grzybkowemi. Salsefia w cieście smażona. Zraziki cielęce w sosie pomidorowym. Dołki drożdżowe. Kolacja: Szyja gęsia nadziewana mięsem.
WTOREK **6** Mikołaja b.	Grochówka z grzankami. Kalafior w sosie. Polędwica wołowa z jarzynami. Legomina biszkoptowa z kremem. Kolacja: Parówki na szpinaku.
ŚRODA **7** Ambroż. † Wig.	Pomidorówka na rosole z kluseczkami. Faszerowana włoska kapusta. Kotlety wieprzowe duszone w kapuście. Suflet z jabłek. Kolacja: Pieczone ziemniaczki faszerowane szynką.
CZWARTEK **8** Niep. P. NPM.	Zupa z podróbek. Kotleciki jarzynowe. Pularda pieczona. Kompot mieszany. Tort orzechowy. Kolacja: Polędwica na zimno z sałatką majonezową.
PIĄTEK **9** Leokadii	Zupa powidlanka z ziemniaczkami. Rizotto z groszkiem zielonym. Linki duszone w śmietanie z makaronem. Buchtle. Kolacja: Wędzone ryby bałtyckie.
SOBOTA **10** NPM. Loret.	Rosół z makaronem. Sztuka mięsa z sosem ogórkowym. Gigot baranie z jarzynami. Kompot mieszany. Kolacja: Budyń z kaszki krakowskiej.



HOCKI-KLOCKI

ŻLE ZROZUMIANE POLECENIE.



— Budując naszą nową willę prosiłem budowniczego, aby wmurował w łazience wannę, w którejby można było wygodnie się wyciągnąć! „Esquire".

JEDYNA PROŚBA.



— Czy pan pozwoli, abyśmy zachowali tę zebrę jako maskotę? „Esquire".

Dokończenie ze str. 25-ej.

przygotować na kilka godzin wcześniej, nietylko jeżeli chodzi o wybór tualety, fryzurę, makijaż itd., ale przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na ogólny, gruntowny wypoczynek. Nietylko dlatego, że każde zebranie towarzyskie w godzinach wieczornych przeciąga się do późnej nocy i wyczerpuje siły, ale w tym celu, aby właśnie jak najładniej wyglądać.

Nic tak nie sprzyja dobremu samopoczuciu i świeżemu wyglądowi, jak należyty wypoczynek bezpośrednio przed przyjęciem. W tym celu najlepiej położyć się na godzinę czy dwie do łóżka, zdjąwszy suknię jak przed spaniem. Przyciemnić zlekka światło w pokoju, zamknąć drzwi sypialni i w spokoju odpoczywać. Dobrze jest wtedy podnieść nieco nogi do góry, podłożywszy pod nie grubszą poduszkę lub materac. Ułatwi to odpływ krwi, powodując naturalne zwężenie naczyń krwionośnych, czego rezultatem jest smuklejsza linja nogi w kostce i stopy.

Na oczy dajemy okład z letniej esencji herbaty, co zwiększa połysk oczu i czyni je bardziej błyszczącemi. W ożywionej rozmowie kiedy będą błyszczeć jeszcze silniej źrenice, oczy będą miały wprost fascynujący wygląd.

Ręce, natarte mieszaniną wody różanej z gliceryną i okryte rękawiczkami, nabiorą pożądanej delikatności, choćby przepracowany dzień odbił się na nich niekorzystnie.

Tak przygotowany wypoczynek pozwoli pięknej pani zabłysnąć wieczorem wszystkiemi walorami urody, której nie zagasi zmęczenie, spowodowane do późnych godzin trwającem przyjęciem.

Elwira.

(Dokończenie ze str. 26-ej.)

Ćwiczenie 10. Stanąć na niskim stołeczku i balansować kolejno każdą nogą poza stołeczkiem wprzód i wtył, uważając, aby stopa była w tym czasie opuszczona ku palcom. W miarę balansowania amplituda wahań będzie się wyraźnie zwiększać. Powtórzyć 10 razy każdą nogą.

Ćwiczenie 11. Przysiadamy w kilku pozycjach. Stanąć na palcach, plecy silnie wyprostować, piersi podać naprzód: przysiąść 6 razy. Stanąć na całych stopach, piersi pochylić nieco ku przodowi: przysiąść 6 razy (dobra sucha zaprawa narciarska!). Stanąć na jednej nodze i przysiadając, wyrzucać drugą nogę wyprostowaną w tył, aby końcem palców dotknąć podłogi. Powtórzyć 6 razy dla każdej nogi.

Ćwiczenie 12. Położyć się na podłodze bokiem i z tej pozycji unosić nogę bokiem ku górze, trzymając ją silnie wyprostowaną i starając się osiągnąć jak najsilniejsze wychylenie ku górze. Powtórzyć 12 razy dla każdej nogi.

* * *

Mając 10 minut czasu na ćwiczenia poranne, nie zdołamy wykonać wszystkich podanych tu sposobów gimnastykowania nóg. Trzeba jednak przechodzić je wszystkie kolejno, bo każde z nich wymaga do wykonania innej grupy mięśni.

Jeżeli ćwiczymy przed udaniem się na spoczynek, to unikamy wszelkich następstw, jakie sprowadza zmęczenie nóg całodziennym wysiłkiem, a które pochodzą ze zwolnionego obiegu krwi i związanego z tem rozszerzenia żył.

Dodajmy nakoniec, że każde dobrze wykonane ćwiczenie daje nam prawdziwą satysfakcję! **Vera.**

IDYLLA WŚRÓD AKROBATÓW.



— Idź do tatusia, Moniczko... „Esquire".

UPRZEJMA MŁODZIEŻ.



— Miałam bardzo wygodną podróż w autobusie, bo trzech młodych ludzi ustąpiło mi miejsca! „Esquire".

Rozwiązania z Nru 48-go.

GODZINA.

Była godzina 11 minut 8.

GAWRONY W OGRODZIE.

W ogrodzie były tylko 2 gawrony.

W POCIĄGU.

Maszynista nazywał się Zawadzki.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KOPANIE ROWU.

A może wykopać dół w ciągu trzech dni. B kopie ten sam dół w sześć dni. Ile dni będą kopali ten dół A i B, pracując razem?

POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA.

Myśliwy polował na niedźwiedzia. Gdy niedźwiedź był oddalony o 200 m na południe od niego, myśliwy strzelił, jednak nie trafił. Spłoszone zwierze uciekło wtedy 200 m. na wschód. I myśliwy, nie zmieniając swego stanowiska, tym razem już celnym strzałem powalił niedźwiedzia — również z odległości 200 m.

Jakiego koloru był niedźwiedź?

W zadaniu tym niema żadnego „kawału". W treści zadania dane są wszystkie przesłanki.

O tak! - to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

KATOWICE. Teatr im. Wyspiańskiego wystawił sztukę Bus-Feketego **„Jan"**, graną ostatnio na wielkich scenach w Polsce. Utwór węgierskiego pisarza otrzymał staranną oprawę reżyserską i aktorską. Reżyserował rzecz p. Konstanty Tatarkiewicz. dekoracje projektował p. Jarnutowski. Czołowe role przypadły: rola tytułowa lokaja Jana p. Zygmuntowi Tokarskiemu, rola premjera p. Konstantemu Tatarkiewiczowi, jego żony p. Wandzie Siemaszkowej. Rolę córki zagrała p. Janina Martini.

BYDGOSZCZ. W reżyserji p. Koreckiego **„Klub kawalerów"** Michała Bałuckiego zdobył publiczność bydgoską. Trzeba tu wspomnieć także o pełnych smaku dekoracjach pp. Przeradzkiej i Jędrzejewskiego. Wykonawcy stworzyli galerję zabawnych figur; wśród nich trzeba wymienić pp. Rosłana (Piorunowicz), Edw. Kowalczyka, Winczewskiego, Skierczyńskiego, Jacewicza. P. Domańska była figlarną Ochotnicką, a p. Morozowiczowa zrealizowała typ Dziurdziulińskiej. Milą Marynią była p. Korowicz.

WILNO. Na scenie Teatru Miejskiego zrealizowano **„Gałązkę rozmarynu"** Zygmunta Nowakowskiego, która to sztuka przemierza triumfalnie wszystkie sceny polskie. Oprawę dekoracyjną opracowali pp. Golusowie. Reżyserował p. Z. Karpiński. Wśród wykonawców wyróżnić trzeba pp. Jasińską-Detkowską, Śląską, Ilcewicza, J. Balickiego, Surzyńskiego, Łodzińskiego, Martykę. Puchniewskiego, Tatarskiego, Blichiewicza, Wotejkę, Nowosada, Zastrzeżyńskiego i Jaśkiewicza.

NOWE KSIĄŻKI

„Czy Bałtyk jest morzem zamkniętem?" Inż. Juljan Ginsbert. (Liga Morska i Kolonjalna).

Po raz pierwszy w piśmiennictwie polskiem pojawiła się praca, traktująca zagadnienie morskie pod kątem widzenia możliwości otwarcia bram Bałtyku. Autor — opierając się na ścisłych i nieznanych szerszemu ogółowi w Polsce — dokumentach historycznych, broni tezy, że Bałtyk jest morzem zamkniętem tylko dla tego państwa, które na nim nie posiada odpowiedniej marynarki wojennej. — Państwo silne na morzu potrafi zawsze otworzyć sobie wyjście na wolne wody świata. jak to miało miejsce choćby z Włochami, w konflikcie abisyńskim.

Operując danemi historycznemi i strategicznemi, autor nadaje im jednak barwną formę żywą i pełną swady, co sprawia, że książkę czyta się łatwo i płynnie. Liczne rysunki, mapy i ilustracje, uzupełniają interesującą całość, mogącą mieć duży wpływ na kształtowanie myśli morskiej wśród społeczeństwa.

„Uroki" Tadeusz Kudliński. (Książnica-Atlas).

Właśnie w tym roku mija 10 lat od debjutu pisarskiego autora „Uroków". W roku 1928 ukazał się niewielki tom nowel p. Kudlińskiego p. t. „Pierwsza miłość panny Elo", zawierający opowiadania. osnute na tematyce sportowej. Autor zdradzał w nich wyczucie rytmu współczesności, wyrażone w formie zwartej i żywej. W dwa lata później wydał powieść „Smak świata", przynoszącą przekrój wydarzeń wojennych z okresu wielkiej wojny. Talent prozatorski Kudlińskiego ukazał się tu z najlepszej strony. Dalszymi etapami był „Wuj Rafał i Ska" oraz „Wygnańcy Ewy".

W „Wygnańcach Ewy" (1932) zastosował autor technikę, która stała się odtąd niejako jego ulubionym sposobem narracji, a którą jeszcze pełniej wprowadzi w „Rumieńcach wolności" i obecnie ogłoszonych „Urokach". Mamy na myśli technikę krzyżowania wątków narracyjnych, przeplatania toku opowieści krótkimi epizodami, traktowanymi równorzędnie. W ten sposób narasta w naszych oczach niejako równocześnie kilka nurtów fabularnych. Podobną technikę stosował także głośny pisarz amerykański, Dos Passos, że wymienię tu choćby tylko jego „Manhattan Transfer".

„Rumieńce wolności" zapoczątkowały cykl powieściowy, poświęcony naszym walkom o niepodległość. „Uroki", jakkolwiek stanowią zamkniętą całość, są kontynuacją tego cyklu.

Tadeusz Kudliński należy do tych pisarzy, którzy nie starają sztucznie wywindować się w górę, zwrócić na siebie uwagę jakimiś zewnętrznymi „trickami". Pisarz krakowski zdobywa uznanie solidnością roboty pisarskiej i poważnym wkładem wartości artystycznych i myślowych, jakie zawierają jego utwory.

W „Urokach", podobnie jak w „Rumieńcach wolności" nie mamy bohatera powieściowego. Bohaterem jest tu cała epoka. A więc zarówno ks. Czartoryski, jak Napoleon czy ks. Józef Poniatowski. Nie należy sądzić, iż autor zatrzymuje się tylko przy tak reprezentacyjnych postaciach. Obok nich występują osobistości drugoplanowe, czy trzeciorzędne. Wydarzenia, w których uczestniczą, składają sie na obraz środowiska, tworzą epopeję naszego wysiłku w kierunku odrodzenia państwowego. Kudliński wprowadził tu nawet postać jednego z bojowników o wolność — Jakuba Kierzkowskiego, który jest figurą autentyczną, doskonale uchwyconą przez autora.

W „Rumieńcach wolności" śledziliśmy przedewszystkiem wysiłek Czartoryskiego, widzieliśmy jego próby oparcia odrodzenia Polski przez zimne kunktatorstwo, dalekie od romantycznych porywów innych szermierzy wolności, niemniej zrodzonych z najgłębszego przekonania o słuszności swych tez... W „Urokach" wysiłki te tracą grunt pod nogami, a zyskują na sile argumenty siły zbrojnej.

Z perspektywy dnia dzisiejszego szczególnej wymowy nabierają rywalizacje i starcia tych wszystkich, którzy dążyli do niepodległości. Nie znaczy to, żeby przekładali osobiste sukcesy nad sprawę ogólną, ale tragedją naszego ówczesnego położenia politycznego było to, że Polska stanowiła teren rozgrywek mocarstw obcych i wrogich.

J. J.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 4 grudnia.

9.15 „W dniu św. Barbary" — regjonalna transmisja z Tarnowskich Gór.
12.03 Poranek symfoniczny z Torunia.
13.15 „W święto górnika" — muzyka obiadowa z Katowic.
17.30 Podwieczorek przy mikrof.
21.40 „Śląska pozytywka" — wesoła audycja.
22.45 „Gniazdo rodzinne Józefa Piłsudskiego" — recytacja.

Poniedziałek, 5 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa.
16.35 Minjatury kwartetowe — muzyka polska — koncert.
18.30 „Szlakiem Marszałka Piłsudskiego" — aud. muzyczna.
19.30 Koncert popularny muzyki polskiej.
21.00 Koncert Grace Moore, primadonny Opery Nowojorskiej. Transmisja z Filharmonji.

Wtorek, 6 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
16.30 Koncert pieśni fińskich z okazji święta narodowego Finlandji.
21.00 Koncert T-wa Miłośników Dawnej Muzyki — transmisja z Konserwatorjum Warszawskiego.
22.20 Recital fortepianowy Ericha Riebensahma.

Środa, 7 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa w wykonaniu Przemysława Drzewieckiego na organach Wurlitzera.
16.35 Recital Mieczysława Szaleskiego.
18.30 Teatr Wyobraźni: „Tragedja Sokratesa", wiecz. I.
21.00 Opowieść o Chopinie: „Nokturny".
21.45 Poezja wieku złotego — wieczór literacki.

Czwartek, 8 grudnia.

12.03 Poranek symfoniczny z Teatru Wielkiego w Poznaniu.
13.15 Muzyka obiadowa z Łodzi.
16.15 Koncert popołudn. — transmisja z Gidel.
17.00 Teatr Wyobraźni: „Tragedja Sokratesa" — wiecz. II.
18.15 „Siedem razy jeden" — komedjo-opera J. Eisnera.
23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, 9 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
17.15 Recital fortepian. Olgi Martusiewicz.
18.30 Teatr Wyobraźni: „Tragedja Sokratesa" — wiecz. III.
19.30 Koncert rozrywkowy z Katowic.
21.00 Robert Schumann: Raj i Peri — oratorjum.

Sobota, 10 grudnia.

15.30 Muzyka obiadowa z Poznania.
16.35 Sylwetki kompozytorów polskich: Michał Świerzyński.
17.45 „Comedian Harmonists" — imitują orkiestrę (płyty).
19.15 Irving Berlin i jego piosenki — reportaż płytowy.
21.00 „Przy sobocie — po robocie", wielki koncert rozrywkowy, transmisja z sali Polskiej YMCA.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1